№ 38. Warszawa, dnia 10 (22) Września 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . . **rs. 1 k. 25**
Półrocznie . . . . **rs. 2 k. 50**
Rocznie . . . . . **rs. 5**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. **3.**

KASZUBI.

Skreślił

WIKTOR CZAJEWSKI.

(Dalszy ciąg.)

Potem już nic nie mamy i dopiero pierwszy pastor kaszubski Lorek, swym artykułem niemieckim przypomina światu, że istnieje lud kaszubski. W sześć lat potem, w 1828 roku, członek towarzystwa przyjaciół historyi i starożytności pomorskich dr. Brylowski nauczyciel w gimnazyum Chojnickiem, zwiedzał wszystkie kąciki ziemi kaszubskiej.

Odtąd zaczęto się interesować coraz więcej tą garstką ludu słowiańskiego, tak że w 1840 roku rząd rossyjski wysłał tam Prejsa, aby zbadał na miejscu pod względem filologicznym język kaszubski. Pracę jego przełożył na polski język Lesław Łukaszewicz z Krakowa, gdzie też z dopiskami d-ra Floryana Ceynowy, została wydaną.

Otóż zeszliśmy się z jedynem nazwiskiem Kaszuba Floryana Ceynowy, urodzonego w r. 1818, który całą literaturę kaszubską zbudował.

W 1850 roku ukazała się niewielka książeczka pod tytułem „Kile słów wo Kaszebach e ich ziemi" przez Wojka sena (Wojciecha-syna) pseudonim Ceynowy i oto wszystko, czem do ostatnich czasów Kaszubi mogli się poszczycić.

Książeczka ta jest krótką i niedokładną wzmianką o początkach Kaszubów, mieści ona zarazem ich historyą, ale tak pobieżnie traktowaną, że nawet najgłówniejszych brak tu wypadków.

Oprócz tego ukazało się później więcej broszurek kaszubskich, które wyszły z pod pióra tegoż autora.

Przedewszystkiem zasługują na uwagę: słownik kaszubsko niemiecki, jak również zebrane przysłowia i podania tego ludu.

Początki jednak tej krótkiej a prostej literatury nie przepowiadały tak rychłego jej wzrostu. W ostatnich czasach pan Jarasz Derdowski wydał w Toruniu własnym nakładem książkę „O ponu Czorlinscim co do Pucka po sece (sieci) jachał." Książeczka ta wyszła w 1880 roku i ma niepospolitą wartość.

Płynnym wierszem opowiada w niej autor przygody pana Czorlińskiego. Jeżeli słynna ze swego klasycznego rozwoju Grecya, miała długą epopeję w Odyseusie, to nic dziwnego, że bohaterem małej kaszubskiej ziemi będzie rybak Czorliński, który wybiera się po sieci do Pucka.

Druchu — chyże te nadstawta bliży wasze usze,
Bo ja wam pełną książkę zaraz nałgoć (opowiedzieć) [muszę.
Nie wiem jak na łgorście mesle ze łba se wewiją,
Ale wam o Czorlińskim zełżę historyją.

Oto wstęp po którem zaczyna się opowieść. Dla lepszego zrozumienia rzeczy będę dalsze ustępy przytaczał spolszczonym językiem:

Widzę go, jak w długim płaszczu już zaprzęga konie,
Jak schylony z siedzenia daje gęby żonie.
Ostań z Bogiem moja białko nie czas dłużej zwlekać,
Lód na błotach — sieci nie ma — czas się w świat [wymykać.
Tak powiada pan Czorliński, trzaska tuż z batoga
I już pędzi gdzie do Pucka z Chmielna idzie droga.

Ona wrota zamykając chustką łzę ociera,
I tak długo za nim tęskni z za płota wyziera.
Potem idzie do kościoła klęka na kolana,
I modli się przed ołtarzem za swojego pana,
By szczęśliwie z siećmi z Pucka do domu powrócił,
Nie zarwał się gdzie na błocie albo nie wywrócił.
I zwołała wszystkie baby — co w kościele były,
Dała każdej po srebrniku by pacierz mówiły.
Za rybaka Czorlińskiego — co jechał po siecie,
By go jakie tam nieszczęście nie spotkało w świecie.

Wszystko to jednak nic nie pomaga — Czorliński, jak pojechał, tak nie wraca — a tu żona kłopocze się coraz więcej — bo to czas już i ryby łowić i gospodarzyć.. Strapiona kobieta poszła do plebanii, talar na mszę dała:

Razem z księdzem się modliła te za chłopa swego,
By go zachować Bóg raczył od wszystkiego złego.

Ale nawet modły gorące nie odnoszą pożądanego skutku. Powoli zaczyna nadchodzić zwątpienie i panią Czorlińską coraz większy niepokój ogarnia.

Zaniepokojona — wysyła jednego ze swoich rybaków do Pucka, żeby odnalazł Czorlińskiego.

Człowiek ten udaje się do niewielkiego miasteczka, gdzie jednak nie znając miast innych, jest, jak w zaczarowanym labiryncie... Tyle ulic... tylu ludzi wije się dokoła... ale pomiędzy niemi pana Czorlińskiego ani widać. Przeszedł wdłuż i wszerz stolicę swego kraju, aż wreszcie uwierzywszy przysłowiu „kto pyta ten nie błądzi" udał się z prośbą do bab —

— Co sprzedają flądre,
Bo pomyślał w swoim duchu: te baby to mądre.

Ale przekupki obrażają się na śmiałego rybaka i traktują go taką oracyą, że zawstydzony z niczem powraca do domu.

Wkrótce jednak nadchodzi pocieszająca nowina. Od pana Czorlińskiego odbiera list stroskana żona, z którym udaje się do szkolnika dla odczytania go, zawierający wszystkie przygody w podróży kaszubskiego Odyseusa. Nie fale spienionego morza, nie silne wiatry są tych przygód przyczyną, ale baba, która przeszła mu drogę i „szelma" niegodziwy Szmulek.

Kaszubskie konie, również zabobonne, jak i cały naród — zobaczywszy babę nie chciały z miejsca ruszyć, przewidując przyszłe nieszczęście, a furman nie mogąc ich przekonać, skierował w stronę Kartuz, wprost przeciwną zamierzonej podróży... i pojechał...

Jednakże usprawiedliwia się żonie, że zrobił to niechcący, mimo swojej woli, bo w Kartuzach mieszka Szmul — żydek oszust — który ma do niego żal, że mu przeszłego roku sprzedał wełnę z pakułami... No, ale cóż było robić, to był konieczny i ostateczny punkt wyjścia wedle chłopsko-szlacheckiego rozumu. Nie opuściło go jednak owe fatum... które podąża za nim ciągle... Zaledwie wyjechał z lasu, aż tu wiatr zrywa mu z głowy baranią czapkę i unosi w pole. Wtem wyskakuje wilk — a myśląc że owa czapka to baran kudłaty porywa ją i rozdziera. Nieszczęśliwy Czorliński biegnie do koni, aby je uratować, ale tymczasem ktoś już zdążył wyciągnąć mu z wozu dwa koszyki w które żona włożyła potrzebną mu żywność. Zajeżdżając przed karczmę Szmula czapnika — zastaje już gromadkę swoich sąsiadów, którzy zobaczywszy szlachcica bez czapki zaczynają wyśmiewać się z niego. Nieszczęśliwy — rad czy nie rad musi udać się do owego Szmula, który „Cwaj dolar za mycę fedruje". Potrzebujący ofiarowywa połowę, ale żyd ani słyszeć nie chce. Żal Czorlińskiemu dwóch talarów, tak dalece, że woli się powtórnie narazić na pośmiewisko sąsiadów niźli naruszyć swój kapitał z pasa.

Sprytny żyd na inny sposób jednak stara się wziąć przybyłego, proponując mu darmo czapkę i dobry zarobek byleby z żydkami jechał na jarmark do Conowa. Trafiło to do gustu naszemu bohaterowi, ale z drugiej strony staje mu na przeszkodzie własny interes. Nie opatrzył się jednak gdy tuż dokoła obstąpili go żydzi.

Lezie Jakób z pod Kościerzna, co handluje bydłem,
I żyd Daniel ze Stężyca, który jeździ z mydłem,
Za nim wchodzi stary Abram troszeczkę kulawy
I żyd czarny ze Skorczewa — co ma chód koszlawy,
Wchodzi Zyskan aż z Kalesza — co patrzy ukosem
I Eljasz ze Szymbarku z bardzo długim nosem.

i t. d., wchodzi coraz ich więcej, a każdy kusi swoim sposobem Czorlińskiego, który wreszcie widząc świecące dolary — zgadza się jechać na jarmark do Conowa — otrzymując od każdej sztuki honoraryum po talarze, w dodatku zaś nową „mycę" (czapkę)... Wprawdzie kiedy wyruszyli z miejsca Szmul wróży mu w drodze nieszczęście, mówiąc mu, że go dyabeł porwie. Ale Czorliński nie boi się dyabła, bo on aż nadto przekonany, że:

Prędzej dyabeł porwie żyda niźli katolika.

Z wyrachowaniem prawdziwie wieśniaczem, porzuca on szosę i nadkłada kilkanaście mil boczną drogą byleby niepłacić „rogatkowego" w które dosyć obfitują drogi krajów zostające pod pruskim rządem.

Boczna droga nieuregulowana i ciężka, daje się Czorlińskiemu dobrze we znaki, szczególniej kiedy wypada jechać pod górę. Na wózku masa żydów, konie liche, trudno jem ciągnąć, a szelmy niedowiarki nie chcą złazić pod górę, utrzymując, że za swoje pieniądze powinni jechać, Czorliński morduje się, popycha sanie, a szkapy ledwie dyszą...

Żal się zrobiło Czorlińskiemu koni — a że nasz szlachcic nie w ciemię bity, wpada na koncept, aby żydów wywrócić. Nie długo też czekając — uskutecznia swój pomysł z taką zręcznością, że wszyscy pasażerowie znajdują się w śniegu. Jeden nawet żydek Bartek z Brus pod Chojnicami, staczając się z góry wpadł do studni i krzyczy:

Waj mir — rety! aż się zlękły konie,
Byłem pewny, że żydziseo w studni gdzieś utonie,
W jednej chwili — ja i żydy byliśmy przy dole,
Gdzie ów Bartek pływał w wodzie — jak mucha
[w rosole —
Szczęściem woda była zimną — więc się nie poparzył.

Ale zachodzi trudność—w jaki sposób żyda wyciągnąć z tej studni—zwłaszcza, że drąga w bliskości nie ma. Mądry Czorliński i tu jednak okazuje spryt wielki. Porywa drugiego żyda, a chociaż ten broni się, wpuszcza go do studni. Bartek dosięgnąwszy nóg uchwycił się ich, a Czorliński wyciągnął obydwu.

Dlaczego Czorliński ratował Bartka, czy z obowiązku?...

Nie — Bartek miał dobre serce, a co więcej — że:

Byłby się jako człek niechrzczony dostał do piekła.

Po takiej nauce, jaką przy wywróceniu sani woźnica dał żydom, interesa własne powożącego i jego koni zmieniły się znacznie. Przy byle pagórku — pobici żydzi — kapitulowali schodząc z sanek. Podobało się to Czorlińskiemą, który od tej pory czynniej zaczął występować „na szerokiej arenie politycznej." Do zwycięzenia nadarzyły się też sprzyjające okoliczności.

Jadąc około cmentarza Czorliński ujrzał:

— Piękną Bożą mękę,
Zaraz więc, jak dobry Polak, bierze czapkę w rękę,
Ale oni zatwardniałe żydowskie poganie
Ani głową nie kiwnęli...

Rozgniewany obraca się do żydów — aby „pochwalili Boga..." ale żydzi ani słyszeć nie chcą. Widząc Czorliński, że parlamentaryzm nie doprowadzi do niczego, chwyta bat i zbrojnie występuje przeciw nieprzyjacielom. Nota została przyjętą. Widząc, że orężne siły stanęły nad karkiem, żydzi wybrali sobie politykę pokojową, a czyniąc zadość wymaganiom projektodawcy — odtąd z poszanowaniem zachowywali się wobec wszystkich „Bożych męk".

Tak zwycięzko pan Czorliński — podcinając konie — pędził ku Conowu. Droga posuwała się wśród łagodzących okoliczności szybko. Zwycięztwo było pewne — gdyby po drodze nie musieli przejeżdżać przez Kantrzyn.

(D. n.)

RÓŻA W ZWALISKACH.

Zgasło słońce, nocne mroki
Już obsiały świat wokoło,
A ja pochyliwszy czoło
Wiodłem zwolna tęskne kroki,
I dążyłem wciąż strapiony
Z jękiem bólu z łzą żałości,
Blady, tęskny, zamyślony,
Bo dumałem o przeszłości.

A dumając zszedłem z drogi
Gdzieś w zarośla, snadź zbłądziłem,
I ujrzałem dom ubogi,
W którym młodość swą spędziłem.
Smutno spojrzyć — toć zwalisko,
Trochę gruzu, trochę błota,
A gdzie rosła wiara, cnota,
Starto nawet i nazwisko!

Łezka zbiegła mi na lice,
Pierś ścisnęły smętku żale:
Jak nie płakać widząc w kale,
Przeszłej wielkości świątnicę!
I spojrzałem: coś czerwieni...
To różyczka wonna, mała.
Ciosy zniszczenia przetrwała,
I tak rośnie wśród kamieni.

O ty córo samotności,
Twa obecność znak mi daje,
Że tam gdzie szczęście nie gości,
Zawsze nadzieja zostaje;
Gdy nas ciężar trosk przygniecie,
Szlą nam nadzieję niebiosy:
Póki tam jest róża w kwiecie,
Bracia, znośmy smutne losy!

Ludwik Niemojowski.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dokończenie.)

Na drugi dzień rano p. Smirska zaraz z Walentyną wyjechała. Zbigniew odprowadził panie i dopiero późno w nocy miał wrócić do domu. Pan Krasik był wielce z tego niezadowolony.

— Żal mi chłopaka! — mówił do siebie, wychodząc z pomieszkania Zbigniewa. — Zrobiono go szalbierzem, matkę jego ostatnim ladaco a i mnie ubliżono, bo gdy za kim parlamentuję, to za jego honor odpowiadam, a to nie przelewki!

Józef od rozstania się z panem Krasikiem, nie mógł się uspokoić. Czuł się potrójnie dotknięty, jako syn, wdzięczny wychowaniec i człowiek godność swoją umiejący cenić. Wszystko to zostało sponiewierane, bo pan Krasik w pojęciu swego niepokalanego honoru, uznając konieczność zbadania wszystkiego do gruntu, nic nie taił i powtarzał każde niemal słowo przez powaśnionych wymówione w gniewie i oburzeniu.

Ale i ze Zbigniewem nie lepiej się działo. Rozdrażniony jak lew prętem smagany. Gniewał się na ciotkę za despotyzm, na Walentynę za pierwszeństwo oddane jakiemuś przybłędzie z końca świata, pozującego na uczonego. Gniewał się na pułkownika, że wścibstwem swem nieznośnem wplątał go w sprawę tak mu wstrętną, na Zosię szalejącą z zazdrości, wreszcie na samego siebie, że nie umiał uledz względom przyzwoitości, któremi zawsze porywczość swą starannie hamował.

Gdyby Stanisław był w Warszawie lub p Smirska, nieporozumienie w samym zarodzie może dałoby się przydusić, ale na nieszczęście nie było ich a p. Krasik póty się kręcił, póty z komara robił słonia opierając się zawsze na obrazie honoru, iż przy pierwszem spotkaniu przypadkowem Zbigniewa z Józefem, można się było obawiać groźnej jakiej awantury.

I przyszło wreszcie do spotkania się w jakiejś zamiejskiej wycieczce.

Na podwieczorku w gronie młodzieży, Zbigniew był w jak najlepszem usposobieniu, śmiał się, żartował, weselił, zapomniał o wszystkiem... gdy nagle spostrzegł Józefa i umilkł. Twarz mu pałała, usta drgały, poruszał się niespokojnie... Młodzi towarzysze spostrzegli to, nie znali Józefa ale domyślili się, że coś między nim a Zbigniewem zajść musiało, skoro zjawienie się nieznajomego na przyjaciela ich tak dziwnie oddziałało.

— Wracajmy do Warszawy — odezwało się kilku powstając.

— Wracajmy — potwierdzili drudzy wdziewając paletoty. — Zbigniew nie ruszył się i oczami śledził Józefa jakby go chciał przebić spojrzeniem.

— Chodź Zbigniewie — odezwał się jeden z młodych biorąc go pod ramię. Zbigniew powstał ociągając się.

Wtem zbliżył się Józef i z największą grzecznością zwracając się do całego towarzystwa rzekł:

— Pozwolicie panowie, że korzystając z waszej obecności...

— Precz! — zawołał Zbigniew z rykiem prawie nieludzkiego głosu i jednocześnie porywając za butelkę, wymierzył nią w głowę Józefa. Wyrwano mu ją.

— Czyś oszalał? — zawołano — uspokój się!

Zbigniew rwał się podtrzymywany przez przyjaciół i rzucał obelgę za obelgą.

Józef stał spokojnie trzymając się poręczy krzesła, gotów użyć go w każdej chwili na swoją obronę i tylko wymawiał kiedy niekiedy powstrzymując się z widocznym wysiłkiem:

— Jesteś bezczelny kłamca. Odwołuję się do twych przyjaciół, którzy samem znalezieniem się dają dowód, że potępiają gwałtowność twego postępowania.

Wreszcie Zbigniewa zdołano usunąć na stronę i zaraz zajęto się rozważaniem powodów zajścia tak niepojętego. Józef opowiedział wszystko i zdał się na sąd honorowy młodych przyjaciół Zbigniewa, oświadczając, że zupełnie w nich pokłada zaufanie. Nad sprawą tą długo rozprawiano, roztrząsano, dziwiono się, że Zbigniew mógł się w swej gwałtowności tak dalece zapomnieć i zawyrokowano, iż powinien uznać swoją winę i Józefa w gronie ich uroczyście przeprosić.

Młody szaleniec ani słuchać o tem nie chciał, uspokoił się cokolwiek, ale wyrzucając przyjaciełom niesprawiedliwość, oświadczył że nietylko Józia nie przeprosi, ale żałuje mocno, że mu nie wygarbował skóry, jak na to zuchwalstwem swem zasłużył.

To już było za wiele. Rozgniewani, pozostawili mu do wyboru, albo przeproszenie albo pojedynek, na co zdecydować się natychmiast powinien, gdyż inaczej usuną się od niego wszyscy jako niegodnego ich towarzystwa.

Zbigniew bez wahania przyjął pojedynek, tę straszną ostateczność, w której zwierz wszystkiemi pozorami prawności przystrojony, bierze przewagę nad człowiekiem.

Na razie nie było innego sposobu wyjścia miano jednak nadzieję, że Zbigniew uspokoiwszy się w swej gwałtowności, której się dość nadziwić nie mogli, upamięta się, stanie się powolniejszym i tym sposobem doprowadzą go do pojednania z przeciwnikiem, czego wszyscy niewymownie pragnęli.

Nic jednak o tem nie wspominając, miejsce spotkania oznaczono, zobowiązując się wzajemnie do zachowania najściślejszej tajemnicy, aby plotka nie rozeszła się po Warszawie i nie dowiedziano się o skandalu ubliżającym wszystkim.

— Nie podobna pojąć, mówili młodzi pomiędzy sobą, co się stało ze Zbigniewem. Nie był przecie pijanym boć parę kieliszków wina rozumu jeszcze nikomu nie odebrało, a on tak postąpił jakby go zupełnie utracił. Coś się tu kryje niepojętego, jakaś tajemnica, którą musimy wybadać. Zbigniew zawsze się taktem zalecał a tu postąpił mówiąc między nami, jak ostatni szubrawiec pomiędzy równymi sobie szubrawcami. Szkaradny wypadek! Wart nie wiem jakiej ofiary, byle nie padło na nas śmiecie z którego powstał.

Józef zasmucony ale na wszystko zrezygnowany, wracając do miasta, pozostawił u p. Krasika zawiadomienie o tem co się stało zapraszając go na sekundanta.

Potem w domu zaraz zajął się napisaniem listu do przybranego ojca Stanisława, przedstawiając mu rzecz całą z największym spokojem i przepraszając za boleść jakiej go nabawi jeżeli zginie w spotkaniu.

„Nie szukałem podobnej burdy ani jej pragnąłem, wyraził się w końcu pisma, ale przewidywałem ją i przeczucie mnie nie zawiodło. Nieszczęście to wielkie, ale czyż mogłem mu zapobiedz? Pamięć na cześć matki mej nieszczęśliwej, na godność twoją zacny i ukochany mój ojcze i moją zarazem, zanadto mi są drogie, abym miał zapomnieć o swym obowiązku. Do spełnienia jego przystępuję z największym spokojem, Bóg osądzi mnie miłosiernie a ciebie pocieszy drogi mój ojcze. Ostatnią myśl poświęcę tobie i tej której strata i nieszczęścia okryły duszę twą żałobą."

Potem z podpartą głową zatonął w dumaniu. Przebiegł całą swoją przeszłość, od dworka szlacheckiego swego dziadka, którego zachował w pamięci, aż do chwili, gdy znaleziony przez Stanisława, wszedł w świat tak mu obcy zupełnie. I przypomniał sobie dziadka Jana, tak go kochającego, jego troskliwą nad sobą opiekę, pobyt w cegielni, przybycie do Warszawy, zamieszkanie u szewca Skowrońskiego, przyjaźń z Grzesiem, nauczycielstwo panny Salomei i wreszcie tajemnicze różne spotkania w ogródku, w warsztacie, dotąd jeszcze należycie nie wyjaśnione. I rozważając to wszystko, widział jak w całym tym przebiegu życia, coś nieznanego, niewidomego, czuwało nad nim, broniło, osłaniało i doprowadziło wreszcie do tego zadowolenia jakiem cieszył się do ostatniego wypadku.

— To twoje matko serce było zawsze przy mnie — szeptał sobie w myśli. — Miłość nie z ziemi płynie, tam z wyżyn wraz z człowiekiem wstępuje na nią i razem z nim opuszcza padoł swych ziemskich więzów. Byłaś przy mnie matko dotąd, matko nie opuszczaj mnie...

Znużony ale pokrzepiony i uspokojony modlitwą, rzucił się na posłanie, wkrótce usnął twardo i w śnie widział jak przez mgłę unoszącą się nad nim postać jakąś niewieścią, jaśniejącą, uśmiechniętą i z miłością niewysłowioną wpatrującą się w niego. Była to matka... obok mignęła postać Stanisława, ze spojrzeniem pełnem zachwytu, zwróconem ku cudownemu zjawisku. Józef wyciągnął rękę, krzyknął: o moja matko! i przebudził się wolny od ciężaru, który serce jego tłoczył. Zaraz potem zabrał się do uporządkowania papierów powierzonych przez ojca Stanisława swej pieczy, przygotował niektóre objaśnienia dla dependentów, odwiedził panią Czemecką i Marynię, w myśli pożegnał się z niemi starając się o ile można ukryć żałobną barwę swoich odwiedzin, a potem udał się do p. Krasika w celu umówienia się o godzinę wyjazdu na oznaczone miejsce.

Zastał go najspokojniej palącego fajkę przy rannej herbacie i czytającego wczorajszego Kuryera.

— Spodziewałem się się twego przybycia — rzekł zobaczywszy wchodzącego. — Ale cóżeś taki blady jak w paroksyzmie febry?

— Miałem mnóstwo zajęcia, mało co spałem...

— No, nic dziwnego — odrzekł p. Krasik wysuwając krzesełko. Siadajno... jesteś wzruszony, pojmuję to, ale pomału ochrostasz się z podobnemi awanturami. Gdy drugi raz przyjdzie ci się zmierzyć z przeciwnikiem...

— A niech mnie Bóg broni od podobnego nieszczęścia! — zawołał Józef mimowoli.

— Nieszczęścia! — mruknął pułkownik.—Trudno mój bracie, honor rzecz święta! W obronie jego nieraz pukało się i rąbało a przecieć żyję. Nie każda kula zabija, nie każde cięcie pałasza na śmierć płata. W bitwie kule syczą jak osy, pałasze śmigają jak błyskawice, a często i jednego trupa na placu nie pozostaje. To i teraz puknięcie do siebie po razu, bo na drugi strzał nie pozwolę: pierwszy pod wpływem wzruszenia drżącą wykonany ręką, szczególniej u debiutantów prawie zawsze bywa chybny; drugi jest pewniejszy. Może tam któremu kula tuż przy nosie przeleci i pójdzie sobie dalej, a my sekundanci zmusimy was do zgody, podacie sobie ręce ot! i sprawa z honorem będzie skończona. Nie ubliży to wam w niczem, Zbigniewowi przytrze trochę rogów, ciebie podniesie w opinii, a mnie zadowolni, bo gdzie ja występuję to albo szanuj, albo rąb się na zabój. Gdyby sprawa ta nie skończyła się pojedynkiem, nabrałbym o tobie bardzo złego wyobrażenia i przypuściłbym, że jak Zbigniew twierdzi, nie jesteś prawdziwym Długoszem tylko istotnie Długosem albo Długosikiem.

Na godzinę przed zachodem słońca p. Krasik z Józiem już byli na miejscu. Prawie jednocześnie przybyli sekundanci strony przeciwnej, ale Zbigniew jeszcze nie przyjechał. Spodziewano się go co chwila, wyglądano, nadsłuchiwano, upływały kwadranse, wreszcie słońce zaszło, zaczęło się zmierzchać, Zbigniew nie przyjeżdżał.

— Czyby stchórzył? — odezwał się pułkownik zniecierpliwiony. — W takim razie nic nam nie pozostaje tylko plac ostrzelać i ogłosić go...

— Za pozwoleniem — przerwał sekundant — na to zgodzić się nie mogę. Że Zbigniew nie stchórzył, to zaręczyć mogę najsumienniej. Za nadto znam go dobrze, abym pod tym względem miał jaką wątpliwość. Przypuszczam więc coś nadzwyczajnego, nieprzewidzianego, bo inaczej jeżeli sam nie mógł się stawić, to byłby przysłał wiadomość usprawiedliwiającą swą nieobecność. Gdy nie zrobił tego, zaszła ważna jakaś przeszkoda niezmiernej wagi i dlatego proszę z ostrzeliwaniem placu wstrzymać się, aż do wyjaśnienia rzeczy dokładnego, co spełnić obowiązuję się.

— Przypuszczam i ja to samo — potwierdził p. Krasik. — Zbigniew szaławiła, czasem jakby postrzelony, ale honorowy, odważny i nie papinkowaty. Chciałbym mieć szwadron takich jak on zuchów a bohaterstwem naszem wstrząsłbym całą Europę.

Zbigniew w powrocie do domu wstąpił do teatru ale tam nie zabawił długo. Zaszedł do restauracyi, kazał coś podać i wypiwszy tylko kieliszek madery, powrócił do domu, w czasie największej ulewy przemokły do nitki. Józef lokaj zdejmując z niego zwierzchnie ubranie chciał rozmowę rozpocząć, jak to było jego zwyczajem, ale spojrzawszy na Zbigniewa, na twarz jego zmienioną, zaniepokoił się i pobiegł zaraz do Michała starego kamerdynera p. Smirskiej, powiadając że z jego młodym panem coś się złego stało, bo wygląda tak sztrasznie, iż się lęka sam na sam z nim pozostać.

Michał przybiegł natychmiast i spotkał Zbigniewa wchodzącego do jadalnej sali przystrojonej długim szeregiem portretów przodków rodziny Długoszów.

— Paniczu, Bóg z tobą! — odezwał się Michał przysuwając się z ojcowską troskliwością do młodzieńca. — Co z tobą się dzieje? Powiedz, czyś słaby, może doktora przywołać?

— Doktora? A tobie stary poczciwcze co przyszło do głowy? Jestem zły ale zdrów jak ryba... czyż nie widzisz jak zmokłem?

— Widzę kochany paniczu, ale cóż cię to tak rozgniewało?

— Ciekawy? — Zaśmiał się Zbigniew. — Nic dziwnego. Ciekawość to ludzka niedola a głupota to szczęście człowieka.

— Co mówisz paniczu? —zapytał Michał przelękniony.

— Zabawny jesteś mój stary, ze swemi wielkiemi oczami wlepionemi we mnie jak w bazyliszka— odrzekł Zbigniew ze śmiechem. Nie lubię tego... wyglądasz jak trup gdy mu prąd galwaniczny pozór życia nadaje. Odejdź! pali mnie pragnienie... dajcie mi wody z lodem... tylko zaraz...

Stary Michał odszedłszy z Józefem w sam koniec salonu, polecił mu natychmiast pojechać powozem po doktora a sam przysiadł we framudze okna, aby Zbigniewa mieć ciągle na oku.

— Widocznie jest chory — rzekł mu — mówi jak nieprzytomny, ja tymczasem czuwać nad nim będę, powiedz tylko stróżowi Walentemu i chłopcu z kredensu, aby byli gotowi na każde moje zawołanie.

Burza tymczasem na dworze nie ustawała. Deszcz gwałtowny przestał padać, ale migały błyskawice i chmury warczały jak brytany na łańcuchu przykute do obroży. Zbigniew siedział w obszernym fotelu z głową zwieszoną. Michał sądził, że usnął i kiedy zbliżył się na palcach tuż za jego plecami, Zbigniew podniósł głowę szepcząc pół głosem:

— Życie... życie... To maskarada, ludzie na niej godownicy a Amfitryon...? Na wzór starych bajarzy i ukameryzowanych koronkami dewotek, wyciągałem ręce i szeptałem formuły zaklęć uświęcone wiekami... cisza odpowiadała milczeniem jak sfinks zagrzebany w piastycznej pustyni. Orzeł siadł na jego pleśnią omszałej głowie i spojrzał hardo w przepaść przestrzeni. Stanąłem przy nim, wpiłem w nie oczy jak szpony... orzeł wzleciał rzuciłem się za jego szlakiem... mądrość ziemi zawrzała szyderstwem wołając: szalony! Spojrzałem. Sfinks uśmiechnął się... poruszył... spłynął ku mnie w postaci czarodziejki raju... Jam rzucił kwiecie pod jej stopy, objąłem w ramiona i w pośród harmonii dźwięków, marzeń i zachwytu w którym ginie czas i przestrzeń, zapomniałem, żem ziemi wędrowiec, skazany na zatracenie. Czar minął a jam pragnął i szukał.

Człowiek?

To sakwa pielgrzymia wydęta głupstwem... bańka mydlana, z wierzchu błoto wewnątrz... nic, liść wichrem pędzony w kałużę.

Oh! straszna dola! Za co, dlaczego?

Czym domagał się życia, przez głupców za dar sławionego godnego hymnów wdzięczności? Kłamstwo! nie prosiłem o nie, weź je albo powiedz na co je dałeś!

Zbigniew zamilkł ale patrzył przed siebie jakby w księgę roztwartą zamykającą rozwiązanie trawiącej go tajemnicy. Zdala od niego paliła się lampa rzucająca przyćmione światło: jadalnia przystrojona wysokim sklepieniem, obrzucona staremi portretami, pogrążona w cieniu wieczornem, wyglądała jak świątynia, w której echo zdawało się napełniać całe jej wnętrze gwarem rozmowy. Wtem nagle mignęła błyskawica, oblała światłem szereg obrazów i postacie na nich pomieszczone, w kontuszach, w deljach, w zbrojach, z buzdyganami i pastorałami, w hełmach i infułach, w długim szeregu jakby żywe stanęły przed oczami Zbigniewa.

— Ha! znam was starzy! — zawołał zrywając się. Każdą krwi kropelkę czuję jak mi rozsadza piersi i głowę druzgocze na drzazgi. Czego chcecie ode mnie?

Wyrastaliście jak dęby koroną wieków wieńczące się... korona spadła a z pod niej... brzęknęły pęta.

Jesteście wspomnieniem jęczącem boleścią.

Wyzywacie mnie abym blask wasz podniósł i jak gorejącą pochodnią przyświecał tłumom idącym za wozem żałoby. Szaleni! Jam synem ziemi, paliłem się... gorzałem, aż zmieniłem się w bryłę lodu co odbija promień słońca a życia nie wskrzesza. Jam proch z prochu i w prochu zginęcy. Może w marnym proszku przylgnę do waszych postaci z kamieni wykutych, do niego przylepi się ziarenko nasienne, wgryzie się korzonkiem i statua runie w pył wichrem rozwiana.

Hej! wina, choćby beczkę na cześć waszą, głupcy całego świata, a piorunie... w twoje ręce!

W tej chwili grom, jakby posłuszny wezwaniu, uderzył w szczyt pałacowy. Światło oblało całe wnętrze komnaty, dom zatrząsł się, kilka portretów spadło ze ściany a stary Michał padł na kolana tracąc niemal przytomność. Służba zbiegła się równie zestrachana, Zbigniew omdlały siedział w fotelu z głową zwieszoną. Był bezprzytomny, oczy miał otwarte, ale zdawał się nic nie widzieć ani słyszeć, bo na dawane pytania żadnej nie udzielał odpowiedzi.

Położono go w łóżku, nie bronił się. Przybyły wkrótce lekarz znalazł gorączkę silnie rozwiniętą, przepisał środki chłodzące i oświadczył, że stan chorego jest bardzo groźny. Michał wyprawił natychmiast sztafetę do pani Smirskiej, do ojca pana Władysława na wsi znajdującego się i przesiedział całą noc przy chorym, który często się zrywał, kazał zaprzęgać do powozu, podawać pistolety, ubranie, tak, że musiano aż używać siły, aby się nie wyrwał z mieszkania.

Gdy przyjaciele a zarazem i sekundanci przyszli do Zbigniewa na drugi dzień, zastali go zupełnie bezprzytomnego i w malignie ciągle bredzącego bez żadnego związku. Widać tylko było, że miotał nim gniew jakby w dalszym ciągu awantury, przy której rozstał się z przyjaciołmi. Gdy zaczęto opowiadać wszystkie zmiany jakie w nim dawno postrzegano, nie umiejąc sobie powodu ich wytłomaczyć, okazywaną przez niego szczególną drażliwość, a gwałtowność w dniu wczorajszym posuniętą do ostateczności, lekarz zadecydował, że wszystko to były objawy nurtującej w nim choroby, która silną komplekcyą Zbigniewa przytłumiana, wybuchła wreszcie z całą gwałtownością.

Pani Smirska przybyła natychmiast z Walentyną, to samo ojciec p. Władysław, nie poznał ich ciągle zrywał się, majaczył, wykrzykiwał, ale głos jego codzień był słabszy, siódmego dnia oprzytomniał... spojrzał na ciotkę i ojca, potem na Walentynę i wyszeptał ledwo dosłyszanym głosem:

— Żałuję... przebaczcie... Józef... gdzie Józef...?

Pani Smirska świadoma już zaszłego nieporozumienia posłała natychmiast po Józefa prosząc

o przybycie do umierającego. Stawił się razem ze Stanisławem tylko co przybyłym z podróży. Zbigniew po ostatniej posłudze kościelnej modlił się, rodzina otaczała go z klęczącym kapłanem, a gdy wszedł Józef, uśmiechnął się, skinieniem przywołał go do siebie, ujął za rękę i do ust przycisnął. Biedak nie mógł już mówić, poruszał tylko wargami, ale głosu z piersi już nie wydobył.

W pół godziny potem wszystko się skończyło... na łożu leżały martwe zwłoki piękne jeszcze formą choć strawione chorobą, z których tylko co uleciał duch równie bogato uposażony a spaczony błędnym kierunkiem drogi żywota od kolebki mu wskazanym.

Pani Smirska była rozpaczającą, może zrozumiała teraz dopiero, że się omyliła: Walentyna pognębiona straszną boleścią swej opiekunki, a nawet u ojca p. Władysława, obojętnego zwykle na wszystko co bezpośrednio osoby jego nie dotyczyło, błysnęły łzy w oczach. Z całą jednak ceremonialną grzecznością pożegnał Stanisława z Józefem, odprowadził do przedpokoju, przepraszając że ich nie zatrzymuje, gdyż musi spieszyć do siostry.

Wówczas to dopiero Stanisław opowiedział Józefowi związek jaki go łączy z rodziną Długoszów. Nie zataił nic ze swej przeszłości, opisał pierwszą swoją miłość i ostatnią dla matki swego wychowańca, pokazał jej pismo polecające mu opiekę nad ukochanem dziecięciem, tylko o ile mógł oszczędzał ojca jego starając się o nim jak najmniej mówić.

Gdy Józef wyjaśnił mu powody zajścia ze Zbigniewem i wynikłe ztąd wyzwanie, Stanisław wstrząsł się cały i obejmując w uścisku Józefa, jakby go chciał zasłonić przed grożącem mu nieszczęściem, zawołał wzruszony:

— Oh! dziecko moje... z bratem bój... to zbrodnia! Ale nie twoja w tem wina. Jam zgrzeszył niechęcią do nich aż do nienawiści posuniętą, oni wzgardą nas i pychą. Społeczność ginie, gdy jej nie opromienia miłość a wzajemne ustępstwa nie jednoczą. Błędnemi postępowaliśmy drogami i na końcu jej brat stanął przeciw bratu z zabójczą bronią wymierzoną w jego piersi. Oh! mój synu, jakże wielkim i dobrotliwym jest Ten, który nas ustrzegł od tego nieszczęścia!

Pani Smirska od chwili pogrzebu, przez parę tygodni zupełnie była niewidzialną. Składano jej karty wizytowe, nie przyjmowała nikogo, modliła się, jedna Walentyna miała do niej przystęp i ta jej prawie nie opuszczała. Uważano tylko, że często przyzywała kapłana swego spowiednika, człowieka bardzo zacnego, znanego powszechnie z rozumu i nauki. Z nim sam na sam prowadziła dosyć długie rozmowy, a później odbyła naradę wspólnie z bratem panem Władysławem, po której zaproszono Stanisława Strońskiego i oświadczono mu postanowienie, przyznania praw dla Józefa, które tylko zbiegiem nieprzewidzianych okoliczności poszły w zapomnienie.

— Sądzę mój ojcze — odrzekł Józef, gdy mu Stanisław objawił wolę ojca rodzonego — że to zupełnie jest zbyteczne. Prawa Boskie i ludzkie posiadam do nazwiska jakie noszę i czegóż więcej mogę pragnąć? Obowiązków względem rodziny mej żadnych nie zaciągnąłem, czem jestem i czem w przyszłości zostanę tobie tylko zawdzięczam. Miłości mej dla siebie nie zaskarbią, będziemy dla siebie zawsze obcy rozdzieleni przepaścią całej przeszłości. Jeżeli zaś idzie o majątek spaść na mnie mający, nie pragnę go. Wychowany przez ciebie, umiem cenić godność pracy i przez nią znajdę wszystko czego w umiarkowanem życzeniu pożądać mogę. Idźmy więc dalej drogą jąkąśmy dotąd postępowali, nie zejdą się one nigdy...

— Nie mów tak — przerwał Stanisław — wspólne dobro i ich i twoje i ojczystej ziemi wymagają tego połączenia. Przybytek nowego pierwiastku wskrzesi w nich życie, które zamierało przez pewność, że blask mu dawny przywrócą. Oto twój obowiązek, mój przyrzeczony twej matce spełniłem, teraz na ciebie kolej abyś dzieło zaczęte doprowadził do końca.

Ceremonia przyjęcia Józefa w grono rodzinne Długoszów, odbyła się z pewną uroczystością. Pani Smirska choć blada i znękana, z powagą nigdy jej nieopuszczającą, wzruszonym głosem pobłogosławiła młodzieńca i ucałowała go w czoło.

Ojciec Władysław spełnił to samo, a gdy nazwał go synem, Józef rzucił się mimowoli w jego objęcia, rozpłakał, wymówił: ojcze, mój ojcze! a potem jakby zawstydzony porywem swego uczucia, przysunął się do Stanisława i rękę jego z czułością ucałował.

Walentyna całej tej scenie była przytomną, pomieszana nie wiedziała jak się znaleźć, co z sobą zrobić. Pani Smirska szepnęła coś do niej i dzieweczka wyciągając rękę do Józefa rzekła nieśmiało:

— Przyjmij pan... panie Józefie, powitanie i ode mnie i proszę abyś mnie za siostrę uważał.

Odtąd Józef bardzo często odwiedzał swoją ciotkę, wreszcie stał się prawie codziennym gościem. Spotykał się tam z Walentyną... to wszystko usprawiedliwia. Młodzi prędko się zrozumieli, pani Smirska była z tego zadowoloną, ale Józef stanowczo oświadczył, że wprzód własnem staraniem musi zdobyć chlebodajne stanowisko zanim ukochaną przez siebie poprowadzi do ołtarza. Pani Smirska chciała coś przeciw temu wystąpić, ale się powstrzymała a ojciec Władysław nazwał to... dziwactwem. Stanisław bezwarunkowo pochwalił postanowienie swego wychowańca, chociaż małżeństwo tym sposobem na lat się kilka zwlekało.

Kiedy Marynia Czemecka dowiedziała się o zamierzonym związku z Walentyną, przy pierwszem zobaczeniu się z Józefem, wyłajała go za tajemnicę.

— Kiedyś się zakochał bez mego pozwolenia — rzekła do niego figlarnie, to i ja też rozporządziłam sobą bez twojej porady i mam zaszczyt ci oświadczyć, że przyrzekłam swą rączkę panu Bolesławowi Zawale pierwszemu buchalterowi...

— A! to ci szczerze winszuję.

— A masz czego, bo chociaż mój wybrany nie tak jak ty uczony, ale za to nie nudzi rozmową i nigdy się ze mną nie swarzy.

Tego samego dnia dano znać Józefowi, że przyszła jakaś kobieta i pragnie z nim się koniecznie zobaczyć. Była to panna Salomeja, dobrze już podtatusiała a chociaż od lat dwóch nie widział jej Józef, poznał odrazu dawną swą nauczycielkę i powitał z niezmierną radością. Rozrzewniona rozpłakała się i powiedziała, że mu przyszła powinszować znalezienia ojca, o czem z wieści niedawno się dowiedziała.

— Gdyby żył szewc Skowroński — rzekła w końcu — jakżeby się z tego ucieszył. Zachorował na zapalenie płuc, podczas pobytu w szpitalu zmarnował się cały warsztat i już nie mógł się biedak dźwignąć. Grzebał się, rwał nad siły, aż wreszcie zapadł na nowo i bez życia zawieziono go z ulicy do Dzieciątka Jezus.

— A Grześ, cóż się z Grzesiem dzieje? — zapytał Józef.

— Wyrosł jak drąg, postarzał się na kawalerstwie, ale przyszedł do rozumu. Został w sieni, bo nie śmiał przyjść ze mną razem.

Józef roztworzył drzwi i wprowadził Grzesia a za nim wsunęła się młoda dziewczyna, przyzwoicie ubrana w kapeluszu i z parasolikiem w ręku. Grześ miał na sobie surdut w pasie spięty a w kołnierzu odstający od szyi, na głowie zaś czapkę w tył spadającą z daszkiem zakrywającym czoło. Zobaczywszy Józefa, którego także lat parę nie widział, przestępował z nogi na nogę, obracał czapkę i czasami przerzucił po nim oczami.

— Poznałem cię zaraz mój Grzesiu — odezwał się Józef — a cóż to za panna, bo tej zupełnie sobie nie przypominam.

— A cóż to — odezwała się p. Salomeja do Grzesia — cóżeś to tak języka w gębie zapomniał? Jakeś przyszedł do mnie, to tak nim obracałeś jak pytlem a teraz ni *be* ni *me*. Powiedz po co przyszedłeś.

Grześ wydobył kartę białego papieru i podał ją Józefowi: było to zaproszenie pięknie wydrukowane, na akt zaślubin Grzegorza Traczyka majstra szewckiego, z panną Wiktoryą Ziąbek utrzymującą się ze służby. Gdy Józef czytał głośno, Grześ uśmiechał się i wreszcie wybąkał, że bardzo prosi, aby pan Józef nie wzgardził jego chudobą.

— Owszem dziękuję ci serdecznie — odrzekł Józef — żeś o mnie nie zapomniał. Proszę cię, przychodź do mnie czasami...

— Jabym rad — mruknął Grześ — ale nie będę miał śmiałości.

Po wyjściu tak niespodziewanych gości, Stanisław zwracając się do Józefa rzekł:

— Otóż poczciwy Grześ wytknął ci drogę postępowania w przyszłości. Stań się pośrednikiem między czołem społeczności a jego podnóżem, aby głos z dołu idący miał odwagę wypowiadać wszystkie bóle i pragnienia z ufnością dziecka tym, którzy ojcami być dla niego powinni. Wówczas społeczność stanie się rzeczywistą rodziną, w której ojciec ma piecze o dziatwie, kocha ją i stara się o jej dobro, a dziatwa kocha go i szanuje, bo wierzy w jego miłość dla siebie.

W tydzień później odbył się ślub Grzesia, pannę młodą Stanisław z Józefem poprowadził do ołtarza, a potem w pół roku tę samę przysługę spełnili Maryni a Walentyna panu młodemu.

Józef z całym zapałem poświęcił się zawodowi handlowemu, z zamiarem, po za zaznajomieniu się praktycznem ze wszystkiemi jego na miejscu obrotami, założenia akcyjnego towarzystwa na wielką skalę w celu ujęcia handlu szczególniej wywozowego, w ręce dbające nietylko o zysk odpowiedni, ale i o dobro ogólne. Podniesienie także przemysłu krajowego miało otoczyć równą opieką, a do współdziałania postanowił wezwać głównie przedstawicieli wybitniejszych rodzin, których kapitały marnieją w papierach procentowych pomieszczone.

Pani Smirska i Ojciec Władysław nie sprzeciwiali się tym zamiarom Józefa, nawet je pochwalali, ale w rozmowie często go nazywali żartobliwie rewolucyonistą, pragnącym zburzyć cały porządek społeczny.

Co do Zosi Bardzkiej ta stratę Zbigniewa niezmiernie uczuła, wpadła w rozpacz prawie do obłędu dochodzącą, ale w pół roku znalazła pocieszyciela. Przekonania i pojęcia Zbigniewa w nią

wszczepione wydały plon obfity. Była to jedyna pamiątka po nim pozostała... zbłąkana owca na manowcach przez niego wytkniętych.

KONIEC.

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

(Dalszy ciąg.)

VIII.

Równo ze świtem dnia następnego, rozbiegła się po mieście wieść przerażająca, że Małgorzata Żędzianka, przebywająca u panien zakonnych, nocy tej wraz z Motruną z klasztoru zniknęła bez śladu. Pojąć łatwo można jakie wrażenie wywołała wiadomość ta na ojcu zaginionej, który nie wahał się posądzić jawnie i głośno, że córka porwaną została przez księcia Jana Siemiona. Najstaranniejsze jednak poszukiwania natychmiastowo zarządzone niczego nie wykryły a Stadnicki, który w swoich zamiarach doznał także zawodu, wziąwszy część okupu od mieszczan i otrzymawszy gońca od Andrzeja Zborowskiego, by co rychlej zdążał do Wiślicy, niezwłócząc ruszył ze swoim hufcem w drogę. Odstępując od pierwotnie powziętego zamiaru ubieżania Zamościa, Stadnicki pochód swój z Lublina skierował do Wiślicy, gdzie Zborowscy z stronnikami swoimi zwątpiwszy o opanowaniu Krakowa, na przybycie Maksymiliana oczekiwać zamierzyli. Około południa, szpica zbrojnego hufu Stadnickiego, wychylając się z rozległego lasu, znalazła się nagle tuż obok w grzęzkiem błocie uwięzłej kolebki, około wydobycia której kilkunastu ludzi z niemałym wysiłkiem pracowało. Kilkunastu jezdnych otaczało kolebkę zachęcając spędzonych do pomocy włościan, aby spiesząc się kolebkę z błota wydobywszy na suche miejsce przeprowadzili.

Obok drogi na małym pagórku tuż pod lasem, na rozścielonym kobiercu okryta ciepłą burką i z poduszką adamaszkową pod głową, leżała Małgosia omdlała, którą różnemi kordyałami usiłowano otrzeźwić.

Szpica Stadnickiego zatrzymała się, dając znać dowódcy o tem co zaszło. Niezwłocznie też sam Stadnicki na czele swego oddziału pospieszył w nadziei, że uda mu się może niespodzianie pojąć w niewolę Tarłę wojewodę Lubelskiego, który dzień przed zajęciem Lublina przez Stadnickiego podążył do Krakowa. Lecz jakież było jego zdziwienie a zarazem i radość, gdy wyjeżdżając z zarośli ujrzał przed sobą Brzozkę zajętego trzeźwieniem omdlałej Małgorzaty.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Stadnicki — a tuśmi Brzozko! Chwacko jak widzę spisałeś się, porywając nadobną Małgosię z klasztoru i uwożąc ją zmyliwszy pogonie, które na wsze strony wysłano. Oszczędziłeś mi trudu, a teraz mości Brzozko, misya twoja już skończona i możesz wracać do wojewody, aby mu powiedzieć, że dalszą opiekę nad Małgosią ja roztoczę!

— Nigdy! — zawołał Brzozka prostując się i ujmując za pistolet zatknięty za pasem — po trupie moim chyba waszmość wydrzesz mi tę, która mej pieczy jest poruszona!

— Tak! No proszę,—odrzekł śmiejąc się Stadnicki — to i owszem, będzie na świecie mniej jednego łotra. Hej chłopcy! — dodał Stadnicki, zwracając się ku otaczającym go pachołkom i żołnierzom, słyszycie co mówi ta poczwara. Weźcie no go w obroty, aby nam nie zawadzał, kolebkę zaś pomóżcie wydobyć z błota co rychlej, tych tam zaś towarzyszy tego nicponia, rozpędźcie na cztery wiatry!

Słysząc to Brzozka, nagle podniósł trzymany pistolet, ale w tej chwili jeden z pachołków Stadnickiego, tak silnie uderzył go z tyłu czekanem w głowę, że kula chybiwszy celu, przeleciała tuż obok, a Brzozka ogłuszony zadanym mu ciosem padł na ziemię. Towarzysze Brzozki, widząc co zaszło i sądząc że są napadnięci przez łotrzyków plądrujących po kraju, rzucili się na nich lecz w tej chwili ściągnięci z koni i rozbrojeni, jeden do drugiego plecami powiązani zostali.

— Ha, ha! mości Brzozko, — zawołał Stadnicki — chciałeś mnie wyprawić do mego kuma, lecz zapomniałeś widać, że ja sam dyabłem i że mnie kula się nie czepia! No! nieudała ci się sztuka, moja też górą! Dalejże na gałęź z nim!

Rozkaz dany przez Stadnickiego w chwil parę był już dopełniony. Z człowiekiem jak Stadnicki co się szczycił przydomkiem dyabła, żartów nie było.

W czasie gdy się to działo, kolebkę wydobyto z błota i wyprowadzono na suchsze miejsce drogi, Małgorzatę zaś przeniesiono ostrożnie pod osobistym nadzorem Stadnickiego i pomieszczono w kolebce gotowej już do drogi.

— No, a to niespodzianka! — zawołał Stadnicki — niezła zdobycz, a myślę, że i panna zadowoloną będzie z zamiany! Widocznie druch mój rogaty dopomógł mi do dopięcia celu, który miałem już za utracony! Dalej więc naprzód! krzyknął na hufiec otaczający kolebkę, a tych tam zuchów co chcieli bój stoczyć z dyabłem i jego orszakiem, to zostawić pod sosną, niech odmawiają litanie prosząc o uwolnienie.

Rzekłszy to Stadnicki spiął konia i dopadłszy kolebki obok niej w dalszą puścił się drogę, przez Leżajsk do Łańcuta, dokąd z zapadającą nocą przybył. Tam oddawszy Małgosię pod ścisły nadzór wiernej klucznicy, dnia następnego plądrując i zbytki wyprawiając po drodze, z hufem swoim podążył pospiesznie do Wiślicy gdzie przybycia jego Zborowscy z niecierpliwością oczekiwali. Niezastawszy już jednak sprzymierzeńców w oznaczonem miejscu, przyspieszając pochód pociągnął za niemi, ku Bytomiowi omijając Olkusz i Rabsztyn gdzie z małą załogą miał straż zamku tego niejaki Gabryel Hołubek. Złączywszy się ze Zborowskimi, hufcami Górki i niemieckiemi pułkami prowadzonemi przez nadciągającego od Ołomuńca Maksymiliana, wziął udział w bitwie stoczonej tuż pod murami Krakowa. Zamiar jednak ubieżenia stolicy przy pomocy niemców zamieszkujących przedmieście Garbarze, nie powiódł się i stronnicy Maksymiliana straciwszy znaczną ilość żołnierza, dwie chorągwie, wiele wozów z prochem i narzędziami potrzebnemi do szturmu, nadto ośm wielkich dział ozdobionych herbami Górki, cofnęli się ku Mogilan zkąd Erazm Lichtenstein wódz jazdy Maksymiliana, wraz z pułkami Zborowskich wyruszył do Piotrkowa zajmując po drodze Przedbórz broniony przez hufiec Opalińskiego, który częścią zniesiony, częścią w niewolę pojmany został.

Z koronacyą Zygmunta III, w stronników króla świeżo ukoronowanego wstąpiła otucha, gdy tymczasem przeciwników opanowało zwątpienie. Niektórzy też ze stronników Maksymiliana, poczęli go opuszczać a to pod pozorem stwierdzenia i mnożenia po kraju stronników sprawy rakuskiej. Jan Zborowski i Jazłowiecki byli pierwsi, którzy obóz Maksymiliana opuścili dążąc pierwszy do Prus, drugi na Ruś. Było to jednak pozorem, istotną zaś przyczyną ta okoliczność, że widząc większe prawdopodobieństwo, iż Zygmunt utrzyma się na tronie, nieobjęci w poczet rokoszanów mieliby tę zasługę, że pierwsi przeszli na stronę Zygmunta.

Maksymilian, który z pod murów Krakowa pociągnął pod Siewierz, niechcąc wyjściem swojem z granic królestwa dać pochop do mniemania, że nadziei uzyskania korony polskiej się zrzeka, po niejakim czasie pobytu w księstwie Siewierskim z wojskami podstąpił pod Krzepice i tu obóz swój oszańcował. Niebawem jednak podążył ztąd do Wielunia, a że starostwo Wieluńskie należało do Koniecpolskiego stronnika Zygmunta III, puścił więc wodze swawoli żołnierskiej i całą okolicę srodze ciemiężyć począł. Tu też w całej pełni pokazał Maksymilian co umie i jakimby był królem dla Polaków nieprzywykłych do samowoli i samorządów króli swoich.

(D. c. n.)

SŁÓWKO PRAWDY.

Jakkolwiek mamy „Prawdę” organ półurzędowy malkontentów, wszystko przewracających do góry nogami, ale zdaje się, że i druga *Prawda* nie będzie zbyteczną.

Stara bywa szorstką i zgryźliwą, namiętną często, a zawsze czasy obecne o wiek cały uprzedzającą, młodziutka, której sztandar wywieszam, będzie uważniejszą. Stara przemawia słowami grzmiącemi jak trąby biblijne, mury miast rozwalające, nowo rodząca się głosić będzie tylko słówka podobne do szpilek co kolą, ale nie wywołują wilka z lasu wściekłym gniewem zowiącego się. Gdy kto utknie lub obłąka się na bezdrożu, pogrozi mu a gdy kto ją wyłaje choćby najostrzej, uśmiechnie się, grzecznie ukłoni i powie słowami bajki Krasickiego:

Dzieci, źle się bawicie,
Dla was to igraszką, nam idzie o życie.

Założenie to wprawdzie zaczepne, dziecko to istota co błądzi i źle sądzi, ale cóżem winien, że czytając różne awanturnicze głosy w niektórych organach prasy naszej peryodycznej, zdaje mi się gwałtem, że je wyprodukowały... dzieci.

Niedawno ktoś w „Kuryerze Codziennym” wystąpił przeciw ludowi wiejskiemu z tak ciężkiem oskarżeniem, jakby ten w całem swem rojnem zbiorowisku, był jedynie szajką bandytów, pijaków i próżniaków. Nie zwrócił uwagi, że lud to miliony, a inteligencyi zaledwie tysiące: że jeżeli wśród tych milionów choćby kilkanaście setek jest zgnilizną moralną dotkniętych, to nie może nadawać barwę tak wstrętną całemu ludowi stojącemu

wiernie przy starym obyczaju jeszcze w chacie Piasta pielęgnowanemu. Z niego to przecieć wyrośli wszyscy, chlubę przeszłości i czasów dzisiejszych stanowiący, gdyby więc był tak złym czyżby wydał tak piękne jednostki?

Zepsuł się powiecie, a myśmy czy zdobrzeli? Gdyby zbrodnie, oszustwa, podstępy, kradzieże, i wszystkie czyny przeciw prawom Bożym i ludzkim codziennie spełniane rozdzielić według klas do jakich przestępcy należą, jakże stosunek wypadłby na naszą niekorzyść, zadzierających tak dumnie nosa i uważających lud za jakieś parye indyjskie niegodne nawet dotknięcia?

Wszakże w Warszawie złodziejstwo jest chlebem powszednim, w każdej chwili lękać się należy czy opuszczając dom choćby na kilka godzin, nie zostanie się do nitki okradzionym. Znajduje się w niej także motłoch, zawsze gotowy do rabunku sklepów żydowskich.

We wszystkich miejscach zebrań publicznych a nawet domowych, kradną paletoty, parasole, laski, kapelusze, wyciągają chustki i pugilaresy, w cukierniach, restauracyach pierwszorzędnych i w handlach śniadaniowych delikatesów pukających szampanem, właściciele największą mają biedę z przypilnowaniem, aby wszyscy co z nich wychodzą, zapłacili za to sumiennie co zjedli i wypili. Bywa tam przecie prawie sama śmietanka nabiału społecznego, a jednak nikt nie powie, że mieszkańcy Warszawy wszyscy są takiemi niegodziwcami, tylko że jest pomiędzy nimi kilkuset a choćby tysiąc prawdziwych łajdaków, pewna liczba motłochu i gawiedzi, trochę pijaków, z którymi przecieć ogółu prawdziwych Warszawiaków solidaryzować nie można.

Tak samo i lud sądzić należy. Kilka a choćby kilkanaście tysięcy złych, pomiędzy nim żyjących, to odpadki społeczne na zatratę skazane, a miliony to zbiorowisko jakiem także bez przesady pochlubić się możemy. Nie spotwarzajmy je, nie policzkujmy publicznie, bo nie jem tylko sobie hańbę przynosimy. Ów ktoś tak go poniewierający, czyż nie postąpił jak dziecko, gniewające się na wszystkie matki, że mu własna dała klapsa za niegrzeczność?

Pan znowu jakiś Fantazy, w tymże samym Kuryerze oszkalował podobnie statek parowy zwany Zefirem, kursujący pomiędzy Puławami a Sandomierzem. Że spóźnia się czasem o godzinę, lub więcej, to nie z własnej winy, ale z powodu mielizn przy nizkim stanie wody zdarzających się. Żeby zaś to spóźnianie przeciągał czasem do północy, żeby nim dowodził kapitan pijany a kuchnia miejscowa trucizną darzyła gości, jak twierdzi pan Fantazy, to fałsz najbezecniejszy.

Wprawdzie restauracya nie jest pierwszorzędną ale inną być nie może: kapitan zaś słynący ze swej grzeczności i uprzejmości dla podróżników, nigdy i przez nikogo nie był jeszcze o upicie się oskarżony. Jakże więc można tak ciężko obwiniać publicznie człowieka zupełnie niewinnego? Czyż to nie jest wybryk dziecka, plotącego trzy po trzy, bez rozwagi i zastanowienia?

Oj! dzieci źle się bawicie...

Gazety coś przebąkują o projekcie powiększenia klas gimnazyalnych i dodania jeszcze dziewiątej. Może to plotka a jednak dreszczem mnie na wskroś przejęła. Dziewięć lat męki szkolnej, mogącej się łatwo powiększyć do dziesięciu i jedenastu nawet bez winy uczącego się, to nie bagatela!

Już to ogólnie uważając system nauki szkolnej z małym niezmiernie wyjątkiem, na całym prawie świecie, niezmiernie ułomny. Zaledwie dziecię wyjdzie z niemowlęctwa, już go zaczynają uczyć abecadła, zaraz potem czytania i pisania, w siódmym roku już stale zasadzają do książki, a w dziewiątym najdalej pakują do szkoły, każą w niej przesiadywać najpiękniejszą porę dnia dla słuchania lekcyi wydawanych przez drugich i obciążają zadaniami, których wyuczenie się wyczerpuje resztę dnia nic prawie na odpoczynek nie pozostawiając. Jakże więc ciało może zdrowo i prawidłowo rozwijać się, nie wydawać krótkowidzów, o wązkich piersiach, szczupłych, chuderlawych ze wszystkiemi zarodami chorób nowo potworzonych a przedtem nigdy nieznanych?

Powiecie, że to inaczej być nie może? Wybaczcie, ale zdaje mi się, że się mylicie. Zróbmy tylko wykłady w szkołach o tyle zajmujące, aby uczeń na nie chętnie podążał, a już najstraszliwsza plaga... nuda, usuniętą z nich zostanie. Z programu znów wyrzućmy przynajmniej dwie trzecie jego obszerności, na czem prawdziwa nauka nic nie straci, a uczeń znajdzie czas na wszystko i rość będzie myślą i ciałem zarówno pomyślnie. Tak postępują w Szwajcaryi i Ameryce, dlaczegóżby i wszędzie dziać się podobnie nie miało?

„Rola" w artykule p. t. „Nasze kobiety", wzywa wszystkie do współdziałania w walce jakie pismo to Żydom wypowiedziało. Zawziętości jego wprawdzie nie podzielamy, radzibyśmy aby więcej było chrześciańsko wyrozumiałe, aby bezwzględnie nie potępiało jednej strony a drugiej broniło, ale gdzie ma słuszność tam chętnie wspierać je będziemy.

We wspomnionym artykule, po ujmujących pochwałach wdzięku Polek, ich charakteru, hartu duszy, siły woli i poczucia obywatelskiego p. J. J. powiada, że gdzie wszystko polega na walce legalnej, lecz systematycznej z żywiołem nieprzebierającym w środkach, gdzie potrzeba mrówczej pracy i wytrwałości, tam, kobiety mogą oddać społeczeństwu naszemu usługi nieobliczonej doniosłości. Domaga się więc chronić lud od wyzyskiwania przez kastę handlującą, starać się usuwać żydów ze wsi i karczem, rugować pachciarzy, nie puszczać ogrodów owocowych w arędę, brać inicyatywę w zakładaniu sklepów wiejskich, wykorzeniać w ludzie słabość do żydów, nie kupować zresztą nic u nich nawet z pewną ofiarą.

Wszystko to dobre, ale złemu nie zaradzi.

Chłop gardzi żydem i nazywa szachrajem, słucha go jednak bo z nim postępuje bez żadnych ceregelów, wykrzyczy, wyłaje, zwymyśla od ostatnich, żyd jednak nic się tem nie zraża i póty to tak to owak przedstawia, aż wreszcie trafi w słabą stronę i złapię chłopa na wędkę łatwowierności.

Tu rady, słowa, namowy nic nie pomaga, tylko... oświata.

Sady w dzierżawę mało kto inny bierze oprócz żydów, utrzymanie stróża zbyt kosztowne, spodziewane korzyści wątpliwe, żyd zaś arendarz staje się razem stróżem i dzierżawcą i co najważniejsza w porze najmniej pieniężnej, płaci z góry czynsz w całości z ogrodu ugodzony. Ułatwiajmy gospodarzom małoprocentowe pożyczki a arendarze żydzi znikną z ogrodów. To samo dotyczy pachciarzy, oprócz szynkarzy, których łatwo chrześcianami zastępować.

Najsłabszą jednak jest rada, kupowania towarów wyłącznie u chrześcian nawet z pewną ofiarą, jak p. J. J. powiada. To cokolwiek za bardzo wymagające. O brak ofiarności nikt nas nie oskarży, dajemy wprawdzie dość skąpo bo niewiele co mamy do dania, ale wymagać abyśmy do wszystkiego co kupujemy, dopłacali dla zbankrutowania żydów, to prawie niepodobieństwo. Nauczmy się bronić od wyzysku znajomością wartości towaru i jego ceny, a oszustwo zmniejszy się a nawet zupełnie przepadnie.

Używanie sztucznych środków do niczego dobrego nie prowadzi. Handlem jak gardziliśmy dotąd tak go ciągle lekceważymy, weźmy się więc do niego ale z zupełną znajomością na praktyce opartą, a śmiertelny cios zadamy handlarstwu o które głównie nam idzie. Ale to właśnie szkopuł o co się wszystko rozbija. Praktyka długa, poczynająca się od najdrobniejszych posług, wiodąca po szczeblach od skrzyneczki z zapałkami do handlu z bławatami, przynosząca w zysku najprzód grosze a potem dukaty, jest nam niezmiernie wstrętną. Pragnący oddać się u nas handlowi gardzi nią, zaledwie w nim rozpatrzywszy się zabiera się do spekulacyi i naturalnie zwykle ginie przez współzawodnictwo lepiej od niego przygotowanych.

Żyd cieszy się byle jakim zarobkiem, aby handel szedł, jak powiada, nasi przekupnie innej trzymają się zasady, drzyj łyka póki się dadzą. W szabasy też w drobnym handlu potrzeb codziennego życia, że żydów nie ma, za wszystko płacić trzeba drożej. Za ten sam np. arbuz za który w dzień powszedni płaci się najwyżej dwa złote, w szabas żądają w sklepikach pół rubla zaledwie dziesiątkę spuściwszy. Łajmy więc oszustów, wyzyskiwaczy, ale powstawajmy i na naszą niezaradność, na brak niepojmowania własnego dobrze zrozumianego interesu. Potępianie bezwzględne jednych z wystawieniem drugich jako niewinne ofiary ich niegodziwości, nie spaja ale roznieca nienawiść gorzkie przynoszącą owoce. W ciężkiej walce o chleb, czyli o byt jak się nauka wyraża, silniejszy zawsze zwycięża. Zabierzmy się do nabierania tej siły, skrzepmy się nią, a kwestya żydowska zniknie jak dawno przepadła we Francyi i Anglii. Wprawdzie potrzeba na to długiego czasu, co wieki psuły lata tego nie naprawią, ale oświata prawdziwa, czas o wiele skróci, weźmy ją w pomoc o ile możności naszej a resztę zostawmy przyszłości.

Weredykus.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Pan R. Plenkiewicz podaje w „Gazecie Polskiej" bardzo ciekawe szczegóły o rezultatach poszukiwań dokonanych w nowo odkrytej grocie Maszyckiej, położonej w lesie nad Prądnikiem, korzkiewskim. Przeszły one wszelkie oczekiwania. Po usunięciu pokładu czarnoziemu, p. Ossowski dobrał się do pokładu gliny aluwialnej, z małą domieszką ziemi roślinnej, i z głębi jaskini wydobył głowę żubra z olbrzymiemi jak na to zwierzę rogami, z których jeden przechował się w całości. U wejścia groty, pomiędzy licznemi przedmiotami, na szczególną zasługuje uwagę: *czaszka ludzka i szczęka* z dwoma zębami, znajdująca się w stanie prawie kopalnym, *ząb mamuta* kilkocalowej długości, oszlifowany w czworogran na cal szeroki i wysoki; 15 tak zwanych przez kopaczy *spiczaków* czyli narzędzi wyrobionych z ko-

ści w płaski graniastosłup, ostro zakończonych, pokrytych ozdobami składającemi się z nacięć poprzecznych i linii poprzecznych, tworzących faliste krzywizny. Do równie ciekawych okazów należy siekiera z klubą, tejże formy co znaleziona w warstwie czarnoziemu, tylko że nie wyrobiona z rosochów jelenich, ale z rogu renifera. O ile wiadomo, broń tego kształtu znajdowano dotąd tylko we Francyi. Oprócz powyższych znalazł p. O. wiele bardzo noży z krzemienia łupanego, grubo obrobionych, podobnych do szerokich noży ogrodniczych, w tył ku ostrzu zagiętych, a pomiędzy szczątkami zwierząt: kość ramieniową nosorożca, głowę antylopy z bardzo pięknemi różkami, mnóstwo zębów i kości palcowych niedźwiedzia, nie licząc innych przedmiotów których kształtu i przeznaczenia nie dało się jeszcze odgadnąć z połamanych kawałków. Zachęcony tak świetnemi rezultami, p. O. zamierza po ukończeniu poszukiwań w grocie Maszyckiej, przystąpić do dalszych badań we wszystkich grotach Ojcowa, które, jak się okazuje, nie były dostatecznie zbadane.

*** J. E. arcybiskup wiedeński, ks. Ganglbauer, wystosował list pasterski do wiernych swej archidyecezyi, o dwóchsetnej rocznicy odsieczy wiedeńskiej. Ks. arcybiskup daje na początku listu „obszerny pogląd historyczno-teologiczny na doniosłość tak wielkiego zdarzenia i obraz wojennego czynu," i wzywa wiernych aby w tym dniu pamiątkowym składali w świątyniach Pańskich dziękczynne modły, za ocalenie stolicy i ojczyzny i wyznacza jakie nabożeństwa odbywać się będą na upamiętnienie rocznicy. D. 10 września solenna Msza św. w kościele św. Szczepana, odprawiona przez samego arcybiskupa, na podziękowanie za odniesione zwycięztwo. Na tem nabożeństwie znajdować się będzie cesarz Franciszek Józef z rodziną, książętami krwi i całym dworem cesarskim. Dnia 9 odbędą się uroczyste nabożeństwa i kazania zastosowane do uroczystości we wszystkich kościołach parafialnych w Wiedniu i w całej archidyecezyi. W katedrze św. Szczepana, przez trzy dni, 8, 9, 10 b. m. uroczyste nabożeństwa z kazaniami rano i po obiedzie, ostatniego dnia uroczyste *Te Deum* zakończy nabożeństwa. Nadto we wszystkich kościołach w Wiedniu i w archidyecezyi dwudniowe nabożeństwa 8 i 9 września. Ojciec Święty, Leon XIII dnia 14 sierpnia wydał brewe nadające odpust zupełny wszystkim wiernym biorącym udział w trzydniowem nabożeństwie katedralnem lub któremkolwiek dwudniowem parafialnem i przystępującym do Św. komunii.

*** Dowody wysokich umysłowych zdolności kobiet, nawet do nauk ścisłych, skłoniły rząd francuzki że po raz pierwszy ważne posłannictwo *urzędowne* polecił kobiecie. Panna Marya Loizillon, jeneralna Inspektorka tak zwanych „Ecoles maternelles" wysłaną została przed kilku miesiącami przez ministeryum oświaty do Stanów Zjednoczonych, w celu zwiedzenia tamtejszych szkół kobiecych i zbadania ich teoretycznego i praktycznego urządzenia. Panna Loizillon chlubnie wywiązała się ze swego zadania; przed parą tygodniami wróciła z Ameryki i złożyła ministeryum oświaty najdokładniejsze sprawozdanie.

Drugą oznaką uznania zasług kobiety, było ozdobienie krzyżem Legii Honorowej, pani Frary-Gros — a zasługi te muszą być niezwykłe, skoro kobieta mogła zostać zaliczoną w poczet kawalerów narodowego orderu.

Od czasu ustanowienia tego orderu, tylko piętnaście kobiet zaszczyconych nim zostało. Za drugiego cesarstwa ozdobiono nim pięć zakonnic, a między nimi znaną siostrę Rozalię, najszlachetniejszą pod słońcem istotę. Niejednemu dziwnem się to wydać może, że najpierwsze z kobiet uzyskały to zaszczytne odznaczenie ciche pracownice, niedbające o chwałę ziemską i blask zewnętrzny, które zapatrzone w niebo, przechodzą nieskalane przez ten padół płaczu, roztaczając do koła dobre i miłosierne uczynki... Lecz któż nie przyzna, iż dla samego przykładu należy najwyższą czcią otaczać najwznioślejszą na świecie cnotę, bezgranicznego poświęcenia i zaparcia siebie...

Następnie znakomita malarka Róża Bonheur, otrzymała krzyż legii honorowej z rąk cesarzowej Eugenii i zasłużyła na to odznaczenie jako artystka, jakoteż wzorowem postępowaniem i zacnością charakteru.

Marszałek Mac-Mahon ozdobił tym orderem dwie Siostry Miłosierdzia za doglądanie rannych wojowników w szpitalach i na polu bitwy, a pan Thiers angielce lady Pigolt, która z nieograniczonem poświęceniem pielęgnowała podczas ostatniej wojny rannych Francuzów, w urządzonych przez siebie ambulansach.

Prezydent Grévy tym krzyżem z napisem „Honor i Ojczyzna" ozdobił piersi dwóch kobiet, panny Dodu, za bohaterskie zachowanie się wobec Prusaków i pannę Jarrethout za osobiste męztwo na polu walki.

Pani Frary-Gros zaszczycona obecnie tym orderem, jest doktorem i podczas oblężenia Paryża dała dowody bezgranicznego poświęcenia, wyszukując rannych na polu bitwy, zabierając ich do swego mieszkania lub do ambulansów i pielęgnując z niezmordowaną troskliwością i rzadką umiejętnością. Gdy po oblężeniu Paryża nastała komuna i walka bratobójcza, pani Frary-Gros nie pytając o zasady polityczne rannych, dogląda ich znów i opatruje i nawet bardzo ciężko rannych uzdrawia cieleśnie i moralnie. I zaledwie po dziesięciu latach, tej kobiecie będącej uosobieniem cichego, bezgranicznego poświęcenia, przyznano tę zaszczytną nagrodę, na którą bez zaprzeczenia więcej daleko zasługuje niż wielu nią ozdobionych.

*** Jeden z członków angielskiej komissyi wojskowej, debatującej nad zabezpieczeniem Anglii od wtargnięcia nieprzyjaciół przez zamierzony tunel pod kanałem la Manche, mającym połączyć Anglię i Francyę, pozazdrościło sławy naszego „Filipa z konopi".

Wśród najpoważniejszych uczonych rozpraw i dowodzeń, jeden odezwał się, aby dodać drzwi żelazne i zamek bezpieczeństwa, słysząc to drugi przedstawiał, iż lepiej daleko postawić smoka jak w ogrodzie Hesperyd, proponując aby użyto na ten cel skrzydlatego smoka stojącego na Strand, na pomniku Temple Bar, tak potwornego pod względem artystycznym, iż na sam jego widok najśmielszy wróg pierzchnie.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Ignacemu S. W wierszykach brak zupełnie formy i wszystkiego co ich wartość stanowi.

P. Władysławowi Bu. Wierszyk p. t. Mój grób, ładnie ułożony, ale myśl główna bardzo niejasna. Dwa drugie zostaną wydrukowane.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 7 Сентября 1883 г.

Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego.** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 38, r. 1883.

NIEBEZPIECZNE MAŁŻEŃSTWA.

przez

ANAIS SÈGALAS.

Przekład J. B.

II.

ŻONA POWINNA IŚĆ ZA MĘŻEM.

(Dalszy ciąg.)

— Tak, lecz jeźli przegra?

— Nie może przegrać... gdyż naprzeciw niego stoi w tłumie filantrop który pożyczył mu pieniędzy, ten patrzy w karty przeciwnika i daje poznać je graczowi za pomocą umówionych znaków... Skromny wspólnik za te przysługi nie żąda nic więcej jak zwrotu swego tysiąca franków i trzeciej części wygranych.

Pierwszą myślą Rudolfa było aby na tę propozycyę odpowiedzieć jak na śmiertelną zniewagę, wymierzając nieznajomemu silny policzek — lecz po chwilce uznał że i tego nawet nie godzien, odpowiedział więc tylko parę słów napiętnowanych niewysłowioną pogardą, i odwracając się od niego poszedł dalej wybrzeżem, kusiciel szedł za nim nęcąc złotemi słowami.

Rudolf miał przed oczyma prawie u stóp jego roztaczający się wielki ocean, gotów przyjąć go w swe niezgłębione otchłanie. Zdawało mu się że dwa straszne widmy stoją obok niego — widmo śmierci unoszące się nad morzem, widmo hańby ukazujące się na ziemi. Wprawdzie hańba ta spotęguje się jeszcze jeźli zgodzi się na propowaną mu niedogodność, ale wtedy będzie mógł przynajmniej ukryć ją przed światem, zwracając notaryuszowi powierzone mu pieniądze.

Ogarniał szał jakiś i zawrót głowy.

Rudolf nie mógł się poszczycić gruntownemi zasadami, religia jego żadnej nie miała podstawy, był jednym z tych pogańskich katolików którzy samobójstwo poczytują za cnotę. Moralność jego na słabym trzymała się włosku, honor i uczciwość na nitce — wrazie ich zerwania, upadały aby nigdy się nie podnieść, jak zabijający się akrobata skutkiem pęknięcia liny.

Jednakowoż zanim zgodził się na tak straszny upadek, uczuł najpierw silne oburzenie i przerażenie... po nich nastało wahanie... milczał, drżał, uczuwał silne wstrząśnienie, obłęd. Dotąd w skromnem swojem życiu, posiadał małe ale własne fundusze — pieniądz taki niezacięży w kieszeni ale też nie cięży na sumieniu. Teraz namawiano go aby posiadał pieniądze nieczyste, obciążające i ciężarem swoim przygniatające uczciwość i sumienie.

Oburzył się i chciał odtrącić tę szatańską ugodę, lecz niebawem mówił sobie że stawił już pierwszy krok na drodze występku, nie miał więc prawa okazywać się tak skrupulatnym. I z pałającą głową z czołem pochylonem pod ciężarem hańby, słuchając uważnie wskazówek jegomości w czerwonym krawacie zwrócił się na drogę wiodącą do hotelu w którym stanął.

Zaraz nazajutrz Rudolf urządził dobrze swoje interesa odegrał i odesłał notaryuszowi przegrane 10,000 fr. tłomacząc się że nader ważny a nie przewidziany interes zmusił go wyjechać niezwłocznie do Dieppe, gdzie zapewnie zniewolony będzie jeszcze kilka dni zabawić.

Margrabina de Vilneux wraz z Albiną zaraz nazajutrz wyjechały z Dieppe, tak więc jenerał nie miał sposobności powiedzieć że ów młodzian uprzejmie podający krewety, żywi gorącą namiętność do dam — w kartach. Nie mając co robić, po odjeździe pań jenerał często odwiedzał kasyno, raz będąc w salonie gry osądził że wielkie tam bywają nudy i pomyślał sobie ziewając:

— Doprawdy nie ma tu na co patrzeć! gra mała, wygrane i przegrane nic nie znaczące żadnych zajść, ani jednej choćby dramatycznej sceny. Lepiej może pójdę na przedstawienie *Trzydzieści lat czyli życie szulera.*

W tem zrobił się ruch około zielonego stołu; kilku młodych ludzi widząc wchodzącego Rudolfa zawołało.

— Otóż i gracz tak zuchwale szczęśliwy! miejmy nadzieję że dziś szczęście nareszcie odwróci się od niego.

— A! pomyślał jenerał mocno zdziwiony, ten sam który wówczas grał tak nieszczęśliwie — nie darmo mówić że fortuna kołem się toczy.

Rudolf wszedł poważny, posępny, wybladły i mocno zmieniony, i zajął zaraz miejsce przy fatalnym zielonym stole. Naprzeciw niego stanął jegomość w czerwonym krawacie. Żaden przeciwnik się nie pojawiał, nikt nie śmiał walczyć z tym któremu od tygodnia tak szalone sprzyjało szczęście. Nareszcie znalazł się jakiś gracz tak śmiały iż odważył się stawić mu czoło.

Rudolf wygrał pierwszą, drugą i trzecią partyę— przeciwnicy się zmieniali, on zwycięzca nie ustępował z placu. Jenerał nie spuszczał oka z jegomości w czerwonym krawacie, i zdawał się zdziwiony niewymownie.

— Szczególniejsza rzecz rzekł nareszcie półgłosem do pewnego znanego sobie turysty, poznaje znaki tego oszusta wpatrującego się tak bacznie w karty przeciwnika tego młodego człowieka... Dziwny wypadek.

— Jakie znaki? zapytał turysta, z zaciekawieniem człowieka znudzonego, który przeczuwa jakieś ciekawe zajście.

— Znaki jakie dają sobie oszuści oszukujący w grze, telegraf zmówionych z sobą szachrai, którego tajemnice zostały wykryte na posiedzeniu sądu, na które byłem wezwany jako świadek. Mówiłem panu o tem, była to sprawa o oszustwo w grze w karty, za które oskarżony skazany został na dwa lata więzienia.

— Ach! ach! zawołał turysta wpatrując się bacznie to zapowiada coś ciekawego!

Spojrzawszy w swoje karty, przeciwnik Rudolfa rzekł:

— Proponuję.

— Oho! zawołał jenerał zniżając głos, nasz oszust w czerwonym krawacie pokręca wąsa, ruch ten, jeźli dobrze przypominam sobie jest wskazówką dla wspólnika aby trzymał.

— Trzymam, rzekł w tejże chwili Rudolf tonem stanowczym.

— Ho! ho! rzekł jenerał który dostrzegł wyraźnie że Rudolf spoglądał na owego jegomościa w czerwonym krawacie.

Od tej chwili jenerał nie spuszczał oka ze stołu gry, śledząc bacznie co się do koła dzieje. Ilekroć przeciwnik Rudolfa miał atut, oszust dotykał ręką swego krawatu, inne znaki oznaczały króla, damę i waleta.

Jenerał który na owem posiedzeniu sądowem nauczył się niemego tego języka, przypatrywał się z niewymownem oburzeniem. Widział że Rudolf ciągle w ciągu gry zwraca oczy na nikczemnego swego wspólnika i nie mógł nawet powątpiewać o tej niegodziwej zmowie.

Rudolf wygrywał za każdym prawie razem, i stos skradzionych pieniędzy leżał przed nim. Wtem przysunął się gracz i odważnie przystąpił do gry — stawka wynosiła dwa tysiące franków.

Rudolf zaczynał rozdawać karty, gdy silna dłoń pochwyciła go za rękę a głos groźny i rozkazujący zawołał:

— Nie będziesz pan grał tej partji.

Odwrócił się przerażony, i zobaczył obok siebie dyrektora kasyna—uprzedził on jenerała który także zamierzał zdemaskować oszusta.

— I dlaczegóż to nie mam jej grać jeźli zapytać wolno? zawołał Rudolf.

— Bo ja panu zabraniam.

— Zabraniać mnie... mnie!..

— Panu! Poznano tego zacnego człowieka, który stojąc naprzeciw, daje panu znaki — wiemy dowodnie że raz już był skazany za szachrajstwo w karty. Po wyjściu z więzienia nie zaprzestał niegodziwego rzemiosła, był w Vichy i w Trouville, i tu przybył z kolei. Od paru już dni śledzę znaki jakie panu daje, i jestem najmocniej przekonany że panowie ci mają prawo żądać zwrotu pieniędzy które wygrał pan od nich przez oszustwo.

Ta nieprzewidziana scena niesłychane wywarła wrażenie, w salonie powstał gwar i zamieszanie. Ograbieni gracze domagali się zwrotu pieniędzy;, słychać było odgróżki i głośne okrzyki oburzenia ciekawi zaczęli się gromadzić — skandal wielkich dochodził rozmiarów.

Rudolf poczerwieniał ze wstydu i gniewu — nie schylił jednak głowy, ale odpowiedział śmiało jak gdyby miał do tego prawo:

— Odpowiesz mi pan za tę zniewagę; czekam jutro jego świadków.

— Moimy świadkami są wszyscy obecni tu panowie, odrzekł dyrektor... i świadczyć będą w sądzie poprawczym... nie pojedynkuje się z takimi jak pan tylko wyrzuca się ich za drzwi... Nie stawimy pana zresztą przed sądem, ale musisz natychmiast zwrócić przeciwnikom ukradzione im pieniądze.

Dyrektor dowiedział się już że trzech czy czterech zapamiętałych graczy którzy poprzedzających dni przegrali do Rudolfa wszystko co posiadali, opuścili Dieppe i nie wiedziano dokąd się udali, przeto tenże miał tylko wrócić pieniądze dnia tego wygrane i nie wielkie sumki wygrane w przeddzień od paru obecnych jeszcze graczy.

Rudolf był jakby nieprzytomny, przygnieciony tak strasznem upokorzeniem — piętnowanie ani pręgierz nie byłby dlań surowszą karą. Nie chciał jednak się poddać; uniesiony gniewem zamierzał się opierać, ale wspólnik jego oswojony z podobnemi

zajściami i obawiając się stawienia przed sądem, nakłonił go do śpiesznego zwrotu pieniędzy i wyprowadził z sali.

— No, no, uspokój się, rzekł mu jak tylko wyszli, to cośmy zwrócili nas nie zrujnuje. Pozostaje nam cały zysk z dwóch dni uprzednich, przypada więc dla mnie 15,000, dla ciebie 30,000 franków — dla tak pięknej sumki warto znieść jakąś małą nieprzyjemność.

III.

Rudolf powrócił do Paryża ale nie pokazał się już w kancelaryi u notaryusza, który też nie dopytywał się o niego. Miał teraz własny, tak *uczciwie* zapracowany kapitał i zamierzał obracać nim korzystnie. Po zapłaceniu wspólnikowi jednej trzeciej *czystego* zysku pozostało mu 30,000 franków.

Nader to mała sumka w rękach poczciwego człowieka, ale w rękach oszusta i nikczemnika, może stać się kopalnią złota. Zaczął od tego iż czas jakiś nigdzie się nie pokazywał, z obawy spotkania się z jakim świadkiem fatalnego zajścia w domu gry; a potem potrzebował pewnego czasu aby oswoić się z hańbą, tą ohydną towarzyszką tak obcą mu niedawno jeszcze, a obecnie nieodstępną. Gdy już uczuł że potrafi znosić spokojnie ciężar przygniatający jego sumienie, i zapewnił się że hańbiąca go tajemnica nie jest znaną, postanowił ukazywać się w świecie z podniesionem czołem i zaczął obracać pieniędzmi tak niegodziwie nabytemi.

— I stał się cud tak pospolity w Paryżu. Mając 30,000 fr. a więc 1,500 fr. dochodu, mógłby wynająć mansardę i umówić się z odźwierną o czyszczenie butów, zamiast tego wziął apartament za 5,000 fr. i założył dom bankowy. Salon urządził z wielkim przepychem, aby mógł przyjmować w nim interesantów, i wynajął sobie powóz aby olśniewać pozornym zbytkiem. Potrafił urządzić dom i służbę na taką stopę, jakby miał co najmniej 50,000 fr. rocznego dochodu.

Jak mógł tego dokazać posiadając tak mały kapitał — dowiemy się później.

Po niejakim czasie, gdy już urządził się zupełnie na swojem nowem stanowisku, wtedy tak dla obudzenia większego zaufania, jakoteż dla powiększenia tak zaszczytnie nabytego majątku posagiem żony, postanowił się ożenić. Chciał pozować na poważnego człowieka, aby więcej ofiar złowić w swe sieci.

Ktoś wspomniał mu o bogatej pannie, sierocie posiadającej 500,000 fr. posagu, i po zwykłych wstępnych preliminaryach i staraniach podjętych przez przyjaciela który podjął się go przedstawić, opiekunka panny zezwoliła na wprowadzenie go do swego domu.

Rudolf przedstawił się swobodny i pewny siebie, i osłupiał zobaczywszy ciotkę i siostrzenicę—poznał w nich bowiem owe dwie panie które widział w Diepe, i drżał z przerażenia na samą myśl że znaną im jest owa haniebna scena której tak smutnym był bohaterem. Od pierwszych jednak słów mógł poznać że nie wiedziały o niczem, odzyskał więc zwykłą swą czelność i nie zaniedbał wszelkich możliwych środków podobania się bogatej pannie. Był bardzo przystojny; nie brakło mu dowcipu i pewnej dystynkcyi, a piękna Albina tak mu się podobała iż czuł się podnieconym; ona zaś z swej strony ucieszyła się poznając w nim pięknego młodzieńca z czarnemi wąsikami i przekonywając się zarazem że rozmowa jego nie zadaje kłamu powierzchowności. Żegnając się prosił o pozwolenie bywania w charakterze starającego się o rękę panny de Ransac.

— Mie mogę w tej chwili odpowiedzieć jeszcze stanowczo czy przyjmiemy oświadczenie księcia, ale zapewniam przecież że uważam je za zaszczytne dla mej siostrzenicy, odpowiedziała margrabina poważnie ale z bardzo dobrotliwym uśmiechem. Zachodzi tu przecież jedna dość ważna przeszkoda: Otóż pytam *księcia* jak się to stać mogło aby człowiek zajmujący jego stanowisko, mógł otworzyć jakiś tam *dom zleceń?* (*)

— Trzeba przecież czemś się zajmować, pani margrabino, a dziś w ogóle przemysł a nawet i handel dobrze są bardzo widziane... Jestem człowiekiem swego czasu i nie wstydzę się pracy dozwalającej mi otoczyć piękną moją żonę zbytkiem i przepychem jej przynależnym.

Margrabina nie zdawała się przekonana tym argumentem, ale zaimponował jej tytuł książęcy, i dzięki temu Rudolf został upoważniony do bywania w jej domu.

Lecz rodzina Albiny odznaczała się zbyt gruntownemi zasadami i pojęciami, nie dozwalającemi dopuścić małżeństwa bez zasięgnięcia jak najpewniejszych wiadomości o konkurencie starającym się o jej rękę.

— Zanim zezwolę na ten związek muszę dowiedzieć się wszelkich szczegółów odnoszących się do księcia d'Ermont i jego rodziny, pomyślała sobie margrabina, i w tym celu napisała do przyjaciela który przedstawił jej Rudolfa, prosząc o wskazanie jej miejsca zamieszkania jego rodziny.

Odpisał niezwłocznie załączając adres rodziców Rudolfa:

„Pan i pani Leduc, w Ermont, około Montmorency, departament Seina et Oise."

— Wielki Boże! zawołała margrabina przeczytawszy i o mało nie zemdlała.

Zadzwoniła gwałtownie i kazała służącemu pójść powiedzieć Rudolfowi aby natychmiast przyszedł się z nią rozmówić.

— Oszukałeś mnie pan! zawołała jak tylko wszedł do salonu.

Sądząc że ktoś zawiadomił margrabinę o owej strasznej scenie w domu gry, Rudolf zadrżał i zbladł okropnie, ale nie mając lornetki, margrabina nie dostrzegła tego.

— Przybrałeś pan nazwisko do którego żadnego nie miałeś prawa, mówiła dalej.

Odetchnął i widząc że sprawa nie jest tak ważną jak mniemał, odzyskał pewność siebie i odrzekł z doskonale udanem poczuciem swej godności.

— Nie rozumiem co mają znaczyć słowa pani — noszę własne moje nazwisko.

— Ale nie masz pan żadnego tytułu — nie jesteś księciem, nazywasz się po prostu Leduc.

— A czyż kiedykolwiek mówiłem co innego?.. Jestem dumny z nazwiska mego ojca, bo choć nie znakomite jest uczciwe i szanowane. Dodałem tylko do niego miejsce mego urodzenia, nic więcej.

W tejże chwili Albina weszła do pokoju i z równem jak ciotka zadziwieniem wysłuchała tego tłomaczenia.

— Nie moja wina, pani margrabino, jeźli słysząc nazwisko moje, rozdzieliła je pani na dwoje; a zwracając się do Abiny dodał: te dwie zgłoski są tak ścisle złączone z sobą jak nasze serca.

To połączenie zgłosek nie zrobiło na Albinie zbyt wielkiej przyjemności, ale zostawała pod urokiem ładnej twarzy i obejścia Rudolfa, a nadewszystko wzniosłe uczucia i zasady jakiemi tchnęło każde jego odezwanie się, gdyż idąc do niej każdym razem z prawdziwie artystycznym zmysłem przystrajał swą osobę, umysł i serce. Zasięgnąwszy więcej szczegółowych wiadomości o rodzinie Rudolfa, margrabina dowiedziała się że jakkolwiek nie wysokiego pochodzenia była przecież przyzwoitą i szanowaną — i była to szczera prawda—że uznanie to odnosiło się do Rudolfa — to już było fałszem —ale ex-szuler był nadzwyczaj zręczny i przebiegły i umiał w obec całego otoczenia margrabiny odegrać doskonale rolę człowieka najzacniejszego, nader sumiennego i opancerzonego wzniosłemi uczuciami i zasadami. Ta moralna maskarada nie byłaby mu powiodła się tak doskonale, gdyby jenerał był w Paryżu, ale od spotkania w Dieppe nie widział się jeszcze z margrabiną, gdyż powrócił wprost do miasta w którem była jego komenda.

Jednakże margrabina która jak z sumieniem tak i z przesądami swemi nie umiała wchodzić w układy, wiedziona bardzo dobrem natchnieniem, zamierzała zamknąć drzwi domu swego przed tym zuchwałym mieszczuchem który poważył sięgnąć po rękę jej siostrzenicy patrycyuszki.

— Ależ, ciotko, ja go kocham, powiedziała Albina, i każde słowo, każde spojrzenie jego przekonywa mnie o jego szczerej i głębokiej miłości.

Szczególnym wyjątkiem, tym razem ani słowa ani spojrzenia jego nie kłamały, pokochał rzeczywiście tę piękną dziewczynę, i po jej półmilionowym posagu, ją nad wszystko kochał w świecie.

— Ależ, Albino, przekładała margrabina, on nawet nie jest szlachcicem.

— Pawda, kochana ciociu, przykro mi to jest — ale przecież zdobyto Bastylię.

— Przecież Albina de Ransac nie może zaślubić jakiegoś tam giełdowicza.

— Przyznaję że pragnęłabym wyższego stanowiska, ale ten brak herbu i tytułu zastąpi majątek tak bardzo dziś ceniony, który dozwoli mi utrzymać dom na odpowiedniem urodzeniu memu stanowisku. Lecz najważniejsza że go kocham i że czas już stanowczy uczynić wybór.

— Gdybym była twoją matką odpowiedziała margrabina, nie zezwoliłabym nigdy na podobnie niestosowny związek; na nieszczęście jestem tylko ciotką a ty pełnoletnią, możesz więc postąpić według swej woli. Idź więc za niego skoro chcesz tego koniecznie, ale nie zapominaj że jestem temu najprzeciwniejszą.

IV.

Upłynęło kilka miesięcy — w Operze dawano jakieś świetne przedstawienie. Ze sceny rozlegały się tryle i rulady, w łożach błyszczały brylanty. Kobiety pozowały, mężczyzni lornetowali, i podczas gdy na scenie śpiewały słowiki, panie posuwały się w krzesłach i łożach.

Margrabina była na przedstawieniu z Albiną, siedziała w loży tak poważna jak gdyby słuchała nie śpiewu ale kazania, i Albina była jakaś zamyślona, piękne jej czoło nie jaśniało zwykłą pogodą.

Gdy po ukończeniu pierwszego aktu kurtyna zapadła ktoś prędko otworzył drzwi ich loży.

— Co to? zawołała odwracając się Albina.

— To nieprzyjaciel wchodzi do twierdzy, rzekł jenerał ściskając jej rękę.

— A! jesteś pan przecie! zawołały obiedwie. Już

(*) Margrabina pospolite nazwisko Leduc brała za tytuł księcia le duc.

tak dawno, dawno nie widziałyśmy jenerała dodała Albina.

— Wczoraj przyjechałem do Paryża, i za tydzień wracam do miejsca gdzie brygada moja konsystuje. Idąc wzorem wszystkich przyjezdnych, jedną z pierwszych wizyt oddaje Operze, tym koszarom sopranów, tenorów i basów.

— Czy lubisz Operę, jenerale?

— Tak średnio-proporcyonalnie, bo co prawda wolę pułkową moją muzykę — ale przyszedłszy tu, robię jak inni, słucham, bije oklaski i ziewam niezna-cznie. Lecz zdaje mi się że i panie nie bardzo się dziś bawicie?

— Czy do mnie to stosujesz, jenerale zapytała margrabina.

— O! nie, najzacniejsza moja przyjaciółko, w twojej twarzy przeważa zawsze dostojność i powaga — ale śliczna nasza Albina wydaje mi się jakby smutna, nie ma na jej ustach tego miłego uśmiechu, co dawniej jak promień słońca rozjaśniał jej twarzyczkę.

— Bo też nie jedna zaszła zmiana od czasu naszego ostatniego widzenia... Ale cóż to, jenerale?.. nie słuchasz mojej odpowiedzi...

— A! tak, nie mylę się! zawołał.

I wziąwszy lornetę skierował ją ku owej loży jakby lunetę na stanowisko nieprzyjaciela.

— Tak, tak... to on! zawołał.

— Kto taki? zapytała Albina.

— Ów piękny turysta z Dieppe, młody kawaler uprzejmie podający krewety.

— Tak, rzeczywiście to on, odpowiedziała z uśmiechem Albina, poszedł do tej loży powitać dwie moje przyjaciółki.

— Co?.. powitać twoje przyjaciółki!.. A cóż on może mieć z niemi wspólnego?.. Idę oddać tym paniom przysługę, ostrzegając je że *takim* nie pozwala się wchodzić do swej loży.

— Co mówisz jenerale? krzyknęły obie jednocześnie.

— Mówię że ten człowiek jest nikczemnym oszustem.

Obiedwie krzyknęły, a po chwili Albina rzekła drżącym głosem:

— On!.. on!.. oszust!

— Strzesz się, jenerale, rzekła słabym głosem margrabina, takich zarzutów nie rzuca się niebacznie — trzeba dowodów.

— Nie przypuszczasz przecie, margrabino, odrzekł jenerał, żebym miał rzucać oskarżenie, którego nie mógłbym udowodnić. Widziałem na własne oczy.

— Na miłość Boga! cóż takiego widziałeś jenerale? zapytała Albina która zbladła śmiertelnie.

— Ale jenerał zostawał pod wpływem tak silnego wrażenia iż nie dostrzegłszy tego mówił dalej:

— Przypomnij sobie że kiedy roku zeszłego spotkałem was w Dieppe, młody ten człowiek ukłonił wam się przechodząc koło ławki na której siedzieliśmy, i wtedy zapytałem o jego nazwisko. Pożegnawszy się z wami poszedłem do kasyna i zajrzałem do sali gry i niebawem ujrzałem wchodzącego do niej owego panicza, który, mówiąc nawiasem, nie jest bynajmniej księciem d'Ermont, ale po prostu panem Leduc z Ermont.

— O tem wiem, rzekła Albina, ale cóż więcej.

— Jak już mówiłem, widziałem go zasiadającego przy zielonym stole, gdzie w nader krótkim czasie przegrał 10,000 fr. i wybiegł zrozpaczony jak człowiek zamierzający odebrać sobie życie.

— Jest więc szulerem zawołała margrabina.

— Jestto niewątpliwie straszna zgubna namiętność — rzekła Albina, ale w każdym razie owa rozpacz o której pan mówił, nie ma jeszcze nic wspólnego z hańbą.

— Czekaj końca, drogie dziecię. Zdziwiłem się mocno gdy po paru dniach znowu ukazał się w sali gry, gdyż sądząc że nie żyje, wziąłem go prawie za widmo. Zasiadł do tego fatalnego stołu, a szatan umieścił się tuż naprzeciw niego. Szatanem tym w czarnym surducie i czerwonym krawacie, był nędznik skazany na dwa lata więzienia za oszukiwanie w karty. Odsiedziawszy karę, powrócił do swego niegodziwego rzemiosła. Ponieważ powołany byłem na świadka, przeto w Dieppe poznałem go od razu. Stanął naprzeciwko tego pana Leduc, patrząc w karty jego przeciwnika i dawał nędznikowi umówione znaki, które zrozumiałem gdyż były wyjaśnione na posiedzeniu sądu. Ładny Leduc patrzył i skorzystał ze wskazań, to też zawsze wygrywał... Przed nim gromadził się stos złota i biletów bankowych, a w głębi duszy wzbierało niezgruntowane błoto dosięgające go aż do sumienia i zalewające je swym brudem. Gdy już zebrały się tysiące franków dzięki niegodziwości i oszustwa, i gdy właśnie miałem ostrzedz grających, uprzedził mnie dyrektor kasyna, i pochwyciwszy za kark oszusta, wyrzucił go za drzwi. Uciekł wraz ze swoim wspólnikiem, szczęśliwi że ta względność dyrektora i graczy dozwoliła im uniknąć procesu karnego i kilku lat więzienia.

— To niepodobna! krzyknęła Albina, i...

Margrabina przerwała jej, skinieniem nakazując milczenie.

— Czy nie dowierzasz mojemu słowu? rzekł jenerał z powagą i godnością.

— O! nie, nie! mój przyjacielu! odpowiedziała ze łzami w oczach Albina, tylko...

— Ale może zaszła jaka pomyłka? przerwała margrabina, pragnąc aby jenerał wypowiedział wszystko.

— Żadna, za to ręczyć mogę. Powtarzam że poznałem wspólnika tego niegodziwca raz już skazanego za oszustwo z pomocą tych samych znaków. Widziałem dobrze jak ten Leduc wpatrywał się naprzemian to w swoje karty to w te niecne znaki telegraficzne, po których zawsze następowała wygrana. Ilekroć znak miał oznaczać króla, najniezawodniej król był w kartach przeciwnika, i tak samo było z innemi atutami. Tak z czystem sumieniem i choćby pod przysięgą zeznać mogę że ten panicz jest nikczemnikiem, oszukującym w karty...

Zamilkł przerażony, spostrzegłszy że Albina zachwiała się i pochyliła się na fotel.

— Co tobie, moje dziecię? zawołał, dlaczego historya tego oszusta tak głębokie na tobie wywarła wrażenie.

— Jestem jego żoną! wyszeptała.

— Wielki Boże!.. ty!.. ty!.. jego żoną!..

Zgnębiony, słowa więcej powiedzieć nie mógł. Margrabina drżała z gniewu i oburzenia. Albina cofnęła się w najciemniejszy kąt loży i gorzko płakała.

Jakież uczucie przeważało w niej w pośród tego gwałtownego wstrząśnienia miotającego jej sercem?.. Byłaż to silna namiętność z nieodłączną od niej litością i pobłażliwością?.. Niestety! po trzech zaledwie miesiącach pożycia nastąpiło rozczarowanie. Szlachetny, wzniosły jej charakter, raziło na każdym kroku obejście, sposób myślenia i nizkie uczucia i pojęcia męża, byle słówko, byle nic drażniło ją jak fałszywa nuta, zatruwając razem spokój domowy. Musiała przyznać przed samą sobą że ów Rudolf wymarzony, w niczem nie był podobnym do rzeczywistego, i że ów ideał jaki sobie wyroiła, był po prostu sztucznym wytworem. W podobnem usposobieniu, ów straszny grom jaki w nią uderzył tak niespodziewanie, nie znalazł w sercu jej żadnej przeciw-wagi mogącej osłabić niewysłowioną pogardę i oburzenie, jakiemi obecnie przejmował ją Rudolf.

— Cóż zamierzasz czynić, Albino? zapytała margrabina.

Otarła oczy, wstała i owijając się w burnus odpowiedziała z godnością:

— Jadę z tobą, kochana ciotko — nie myślę wracać do siebie. Gdyby Rudolf był tylko nieszczęśliwym poświęciłabym się dla niego — ale jest nikczemnikiem więc nic już nie możemy mieć wspólnego z sobą.

— Dobrze, kochane dziecię, odrzekła margrabina ściskając ją za rękę; jesteś godną swego pochodzenia, nie wahasz się iść za głosem honoru.

— Rudolf oszukał mnie niegodnie co do źródła swego majątku, rzekła Albina, zażądam seperacyi.

V.

Rudolf był już kilka razy na przedstawieniu tej opery, nie śpieszył się więc zająć miejsce w loży swej żony. Wchodził jeszcze do kilku lóż, przeszedł się po *foyer*, wypalił cygaro i powrócił do loży dopiero w połowie trzeciego aktu.

Wszedłszy stanął na progu zdziwiony niewymownie — w loży nie było nikogo.

Co prędzej powrócił do domu.

— Pani wróciła już? zapytał służącego.

— Nie panie, odpowiedział z zadziwieniem, sądziłem że pani była z panem w Operze.

— Ach! zawołał Rudolf, jakże jestem roztargniony! Nie pomyślałem że zapewnie pani weszła na chwilę do loży którejś ze znajomych pań — wracam natychmiast do teatru aby nie czekała na mnie.

Wziął kapelusz i miał wychodzić, gdy służący zatrzymał go mówiąc:

— Ach! przepraszam pana, zapomniałem... służący pani margrabiny de Vilneux przyniósł list ten przed chwilą, zalecając żeby go oddać jak tylko pan powróci.

— Cóż to? list od margrabiny... przecież była z nami w teatrze.

Porwał prędko list i nie mógł powstrzymać się od krzyknięcia gdy poznał pismo żony. Służący przewąchawszy jakąś tajemnicę wpatrywał się w niego ciekawie.

Rudolf skinął na niego żeby wyszedł. Zostawszy sam drżącą ręką otworzył list i przeczytał co następuje.

„Dowiedziałam się rzeczy haniebnych i oburzających które przeraziły mnie i przygnębiły. Wyjawiono mi ohydne tajemnice pana szulerki, oszustw i niegodziwości... Oszukałeś mnie pan! wiedzże o tem że kobieta uczciwa ma prawo żądać aby mąż jej był równie uczciwym człowiekiem. Od chwili dowiedzenia się że hańba przebywa w domu pana ja pozostać w nim nie mogę — zostaje więc u ciotki zastępującej mi matkę i nigdy już mnie pan nie zobaczy, będziemy obcy dla siebie."

Przeczytawszy list ten, Rudolf uczuł się nadzwyczaj zgnębiony i przybity; wstyd i wściekłość miotały nim jednocześnie; resztka sumienia zadrgała na tak straszną zniewagę.

Szalonym miotany gniewem, pragnął odgadnąć kto mógł tajemnicę tę odkryć jego żonie — po chwili

i ostatni rumieniec wstydu wystąpił mu na czoło i nareszcie odzyskał zwykły spokój. Ostatnie ślady delikatności jakie mogły jeszcze ukrywać się gdzieś w głębi jego duszy zaczęły się zacierać, potrzebował oswoić się z obelgami, bo przecież zawód oszusta ma swoje ciężary. Stawiając pierwsze kroki na całkiem nowej dla siebie drodze oszustwa, uczuwał święte oburzenie podeptanej uczciwości; powoli przyszło nawyknienie, zbratał się z oszustwem i szachrajstwem, zmieniając tylko ich rodzaj i formy, i przenosząc je z zielonego stołu gry, do gabinetu.

Podniósł list który rzucił na ziemię w uniesieniu gniewem, przeczytał powtórnie, i nareszcie rzekł wzruszając ramionami:

— Trzeba jej przebaczyć tę obrazę — młoda jeszcze i niedoświadczona, ale ją sobie ukształcę.

Nie chciał zezwolić na rozłączenie z żoną, gdyż miała dopomagać w jego spekulacyach. Albina nietylko była dlań piękną kochaną żoną, ale nader pożądaną, panią domu, dzięki której mógł otworzyć świetny salon mający stać się przynętą dla biednych ofiar jego oszustw, stanowiła jakby sztandar dostojeństwa i powagi, przedstawiający awanturnika za porządnego człowieka.

Wpadł do margrabiny jak piorun, domagając się powrotu żony.

Zaczął naturalnie od dowodzenia że go haniebnie spotwarzono i natarczywie domagał się nazwiska tego co śmiał głosić tak potworne kłamstwo. Albina spojrzała na niego z niewysłowioną pogardą, mówiąc:

— Nie mogę powątpiewać o prawdziwości wyjawionych mi szczegółów — a kto mi je dał poznać tego nigdy pan się nie dowiesz—proszę więc chciej odejść.

— Dobrze, ale z tobą.

— Nie! zostanę tu i nic w świecie nie zdoła mnie zmusić abym powróciła do domu pana.

Zadziwiła się niewymownie usłyszawszy odpowiedź Rudolfa.

— Moja droga, jestem za nadto światowym człowiekiem abym miał porywać cię z tąd gwałtem—byłoby to zbyt ordynarnie. Jakiś tragarz ująłby cię w silne ramiona i prawem mocniejszego zaniósł do swego domu — ale nie postępują tak ludzie dobrze wychowani...

To powiedziawszy ukłonił się grzecznie żonie i margrabinie wyszedł — Albina sądziła że zostawi ją w spokoju. Zawiodła ją ta nadzieja.

Nazajutrz przybył jakiś pan w czarnym fraku i białym krawacie, bez wąsów i brody, wygolony, poważny jak sędzia śledczy—był to adwokat przysłany przez Rudolfa.

Zaczął mówić pięknie, kwiecistym stylem, przedstawiając jej Rudolfa jako wzór mężów kochających i wiernych a dziś pogrążonego w rozpaczy skutkiem opuszczenia go przez uwielbianą żonę. Gdyby przemówił tak w sądzie, wszystkie obecne kobiety zanosiłyby się od płaczu.

— Tak więc polecił panu *odstawić* mnie do domu rzekła Albina.

— Ależ pani... odrzekł adwokat zdziwiony jej wyrażeniem.

— Żałuję pana mocno, ale powrócisz bez żadnego pakunku. Jutro zaraz wniosę podanie o seperacyę.

— I wygramy sprawę, dodała margrabina.

— Być może, jeźli pani przedstawi ważne, prawem przewidziane powody, odpowiedział adwokat, a zwracając się do Albiny dodał:

— Czyby mąż pani uderzył ją lub znieważył przy świadkach.

— Cóż znowu! czyż mogłabym znieść coś podobnego!

— Nie wiesz pan chyba że siostrzenica moja jest z domu de Ransac, nie mogłaby więc dopuścić aby ją znieważono, w sposób jaki wydarza się tylko między motłochem, rzekła dumnie margrabina.

— Czy dopuścił się niewiary małżeńskiej i wprowadził do domu rywalkę pani.

— Nie mogę zarzucić mu nic podobnego.

— A co się pani tyczy?

— Panie! przerwała Albina z dumą, głosem jakim tylko niepokalana cnota przemawiać może — na podobne pytanie nie odpowiadam nawet.

— A więc, pani, skoro w małżeństwie nie zaszła ani nie wierność, ani uderzenie lub zniewaga, seperacya jest niemożebną, odrzekł adwokat.

Dbając o cześć nazwiska które nosiła Albina nie chciała wyjawić prawdziwych powodów, i dlatego odpowiedziała tylko:

— Jeźli nie uzyskam seperacyi prawnej, nastąpi ona jednak *de facto*, gdyż postanowiłam sobie stanowczo pozostać u ciotki i nigdy nie widzieć się już z panem Leduc.

— I to nie jest niemożebnem odrzekł spokojnie adwokat.

— Jesteś pan nieznośny, przerażający! zawołała Albina.

— Jam temu nie winien, pani; jestem tylko echem nieubłaganego prawa. Artykuł 214, opiewa: „Żona powinna mieszkać z mężem i iść za nim wszędzie gdzie tylko podoba mu się zamieszkać."

— Iść za nim! powtórzyła z oburzeniem, czyż nie jestem sobą, czyż nie mam swej osobistości i swej wolnej woli? czyżby miał prawo ciągnąć mnie za sobą jakby jaki pakunek?.. Jestem przecie jego żoną a nie portsakiem ani kuferkiem podróżnym, jestem stworzeniem Bożem, istotą myślącą mającą swoje pojęcia, wolę i przekonania... To też chciej pan powiedzieć swemu klientowi że zostaję tu i nic nie zdoła skłonić mnie do opuszczenia domu ciotki.

Adwokat probował jeszcze przekonać Albinę o niezłomności prawa, a widząc że najsilniejsze dowodzenia żadnego nie wywierają wrażenia, ukłonił się i wyszedł.

Lecz nazajutrz przyszedł znów pan jakiś z badawczem i przebiegłem spojrzeniem, z tak lodowatą twarzą że zimno się robiło spojrzawszy na niego, i oznajmił że pragnie widzieć się z panią margrabiną de Vilneux i z siostrzenicą jej panią Leduc dodając że przychodzi z prefektury policyi.

Nie posiadając daru kwiecistej wymowy jak wczorajszy adwokat, powiedział wprost Albinie że mąż wzywa ją aby powróciła do niego natychmiast.

— Zostawiam pani godzinę czasu na pożegnanie się z panią margrabiną, dodał.

— I każesz pan konwojować ją dwom żandarmom, jakby zbrodniarza lub morderce! zawołała uniesiona gniewem margrabina, myśląc sobie w duszy że strasz taka właściwszą byłaby dla Rudolfa niż dla jej nieszczęsnej siostrzenicy.

— Prawo dozwolałoby mi tak postąpić, ale nie chcę posuwać się do ostateczności — i dla tego jeźli pani raczy zezwolić, będę miał zaszczyt podać jej ramię i odprowadzić do męża.

— Ależ to niegodziwość! zawołała z oburzeniem młoda kobieta, podnosząc śliczną główkę zarazem dumnie i gniewnie — nie jestem przecie niewolnicą ani zbrodniarką! Nader słuszne powody znieważają mnie do rozłączenia się mężem — ale nie chcę ich panu wymieniać, bo zresztą sama najlepiej ocenić ich mogę.. Chcę rządzić się własną moją wolą chcę pozostać tu i pozostanę.

— Nie pani, jestto niemożebne.

— Jeźli zmusi mnie pan do powrotu do domu jego, rzekła znajwiększem oburzeniem daję słowo że ucieknę ztamtąd niezwłocznie, choćby mi przyszło z narażeniem życia spuścić się z piętra po prześcieradle.

— Nie potrzebujesz pani narażać się na takie niebezpieczeństwo; mąż nie ma prawa pani zamykać.

— W takim razie będę mogła uciec natychmiast.

— Nic zapewnie nie stanie temu na przeszkodzie, ale znów zmuszony będę pójść odprowadzić panią do męża, i powtarzać to ilekroć zechce pani uciekać. Proszę więc, racz pani lepiej pójść ze mną dobrowolnie.

Niepodobna było się opierać. Urzędnik prefektury zaczekał aby się Albina ubrała, a że nie chciała przyjąć podawanego jej ramienia, przywołano fiakra.

— Margrabina która pomimo dobrego i kochającego serca, dla zachowania powagi rzadko kiedy płakała, zalała się rzewnemi łzami żegnając ukochaną siostrzenicę.

Albina wzruszona do głębi duszy tak silnem przywiązaniem, skrywanem pod osłoną powagi i surowości, tak że dotąd nie domyślała się nawet jego głębokości, rzuciła się z płaczem w objęcia ciotki i okrywając jej ręce gorącemi pocałunkami, wołała:

— Matko!.. matko moja ukochana!.. ja powrócę do ciebie... ufaj memu przyrzeczeniu... Nie braknie mi odwagi, będę walczyć!.. Tak, przyrzekam że powrócę niezadługo aby tobie całe poświęcić życie...

Gdy już ujrzała się w powozie w którym naprzeciw niej zasiadł milczący jej przewodnik, uczuła się złamana i znękana niewymownie; przechodziła najstraszniejsze męczarnie serca i obrażonej dumy. Jednak poczucie godności sił jej dodawało. Zasunęła się w kącik powozu, oczy jej iskrzyły się oburzeniem, a jednak gdy łzy gwałtem cisnęły się do oczu, wstrzymywała je z tą siłą woli jaką Bóg daje kobietom. Nie chciała uznać się zwyciężoną i płakać jak to mówią *jak słaba kobieta*; postanowiła sobie walczyć i cierpieć z podniesioną głową, ale łzy odpychane od oczu spadały na serce paliły je i szarpały.

Małżeństwo jej stawało się galerami nowego rodzaju, w których istniał także łańcuch żelazny, skuwający z sobą dwie istoty. Przy jednym końcu tego łańcucha znajdował się oszust przy drugim uczciwa kobieta — i oszust ten miał prawo wlec wszędzie swą ofiarę, co chwila ranić boleśniej jej prawość i szlachetność... i on to podnosił głowę, on był panem i władcą, jemu przysługiwało prawo!..

Nareszcie dojechali do mieszkania. Oddawszy Rudolfowi jego nieszczęśliwą żonę, urzędowy przewodnik skłonił się grzecznie i wyszedł, zostawiając małżonków samych, aby porozumieli się swobodnie.

VI.

Zostawszy sam z żoną, Rudolf milczał czas jakiś; czuł się zakłopotanym w obec swej ofiary, zdawałoby się że zachowaniem i postawą swoją chciał dać jej zapomnieć o doznanej zniewadze. Lecz w chwili gdy otwierał usta chcąc się wytłomaczyć, spojrzała na niego z góry, i rzekła skrzyżowawszy ręce na piersiach:

— Wiesz pan że nim pogardzam...

— Pani! krzyknął z gniewem.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 36.

(Dokończenie.)

N. 40. Majtki ze stanikiem noszone pod spód, dla chłopca lat 6—8. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 59—60.

Majteczki zapinane z boku poniżej kolan, krają się z kroazy podług fig. 59—60. Rozporki boczne u dołu są tylko podwrębione, górne zaś są podszyte listewkami od q do góry. Obie połowy majtek zszyte od n do u łączą się z sobą od r do s i od t do u. Stanik zapinany z tyłu, przyszywa się od dwukropka do gwiazdki, z tyłu zaś przypina na guziki.

N. 41. Staniczek gorsetowy, dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. XV, fig. 50—52.

Jest bardzo dogodny, choć obciska lekko figurę i szyje się z mocnej piki, dodając z brzegów listewki perkalowe, przystębnowane od spodu. Przody (fig. 50) i plecy (fig. 51) łączą się z sobą podług odpowiednich liczb naznaczonych na formie, poczem dodają się ramiączka od V do W i od X do Y. Na wcięciu stanu podszyta jest od spodu szeroka listewka, a z wierzchu dane dwa rzędy guzików do przypinania spódniczek i stanika.

N. 42. Sukieneczka z przybraniem w formie karczka.

Odpowiednia dla dziewczynki lat 2—4, dopasowywa się podług kroju danego przy ryc. 43; krając materyał zwierzchni trzeba naddać na 5 cent. szerokie marszczenie w formie karczka, zaczynające się o 7 cent poniżej wykroju szyi. U dołu sukienki dane trzy, jedna na drugiej falbanki, po 20 cent. szerokie, z których spodnia jest muślinowa plisowana, oszyta koroneczką, środkowa jest z szafirowej satynki, zwierzchnia zaś dana z perkalu alzackiego ponsowego w rzucik szafirowy. Rękawki szyją się z prostego kawałka 30 c. szerokiego i marszczą u dołu do 20 c. obwodu. Kołnierzyk z perkalu tego co falbanka, liczy 9 c. szerokości i jest trzy razy przemarszczony; u rękawków takaż falbanka 5 cent. szeroka.

N. 43. Sukienka bluzkowa z karczkiem, dla dziewczynki lat 2—4.

Gładka podszewka do bluzki kraje się podług fig. 53 i 55, wierzch zaś który się przymarszcza, powinien być naddany przy krajaniu przodów i pleców, podług linii kropkowanej na fig. 58. Górny brzeg przyszywa się do karczka zakończonego wypustką. Spódniczka złączona z bluzką paskiem 2 c. szerokim, składa się z dwóch wolantów, 18 i 12 c. szerokości, podszytych muślinem, układanych w kontrafałdy przedzielane plisowaniem. Kołnierz i mankiety koronkowe plisowane, związane kolorową wstążką; takaż wstążka zamiast paska związana z tyłu w kokardę, przepiętą klamerką, w kształcie podkowy.

N. 44—45. Sukieneczka dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. III, fig. 12—15.

Ryc. 44—45 przedstawiają przód i plecy sukieneczki z białej piki, ozdobionej haftem angielskim; forma ta nadaje się równie dobrze do materyałów wełnianych. Długi staniczek dopełniony jest fałdowaną spódniczką 16 c. długą. Naszycie przybrania odznaczone linią prostą na fig. 12. Kołnierz marynarski (fig. 15) i mankiety haftowane.

N. 46. Suknia zdobna haftem koronkowym.

Na tle jedwabnego bastu stanowiącego materyał na suknię, rozrzucone są maleńkie kwadraciki z czarnego aksamitu wycinane i niewidocznie naszyte. Efektowne przyozdobienie sukni stanowi szeroki ażurowy haft, naśladujący koronkę. Stanik bawetowy z fałdowanem karoczkiem tyłu; draperya z przodu spuszczona fartuszkowo, z tyłu dopełniona prostym brytem nakształt szarfy, ogarnirowanym szlakiem z haftu. Na gładkiej sukni u dołu naszyty szeroki pas haftu, odbija bardzo efektownie. Ładne dopełnienie stanowi pelerynka chusteczkowa z kołnierzykiem stojącym; odrobiona także haftem koronkowym.

N. 47. Suknia z długiem vêtement.

Odrobiona z satynki czarnej i w deseń kolorowy, służy jako ubranie spacerowe letnie, jeżeli zamiast tego skromnego materyału użyjemy atłasu merveilleux i deseniowej grenadyny, stanowić będzie strojne ubranie wizytowe. Plecy vêtement krają się w całej długości wraz z draperyą, a zbywającą szerokość układa się w płaskie fałdy, na gładkiej, dobrze dopasowanej podszewce. W takiż sam sposób fałdują się przody przykrojone na długość stanu a niżej dopełnione oddzielną draperyą, której przyszycie zasłania pasek z wstążki. Tylne bryty z boków odwinięte w fałdę, przypiętą na staniku sgrafką, podług r. 47. U dołu spódnicy wolant złożony w potrójne kontrafałdy.

N. 48. Suknia z bluzkowym stanikiem.

Odpowiednio do przybrania na staniku, naśladującego chusteczkę zachodzącą na bok, tunika zarzucona na spódnicy złożonej w kontrafałdy, z przodu zachodzi skośnie do boku; z tyłu dane suto podpięte dwa bryty proste. Stanik bluzkowy zachodzący pod suknię, obciśnięty szerokim paskiem. Jeżeli suknię taką zrobimy z matowego materyału, to przy czarnej chusteczce, takimże kapeluszu i rękawiczkach służyć będzie do lekkiej żałoby.

N. 49. Sukienka z vêtement paletotowem, dla panienki lat 7—8.

Vêtement półwcięte, z tyłu od stanu ułożone w sute kontrafałdy, z przodu rozchodzi się szeroko i dopełnione jest bluzką, przewiązaną u dołu kokardą; zapięcie dane z boku na niewidoczne haftki. Przy sukience z piaskowego batystu, przyozdobienie stanowi haft tegoż koloru. U dołu spódniczki zastębnowane trzy wązkie zakładki; kokardy z ponsowej atłasowej wstążki; pończoszki ponsowe.



N. 1—3. Ubrania spacerowe dla dam i dzieci.

N. 1. Suknia ze stanikiem z draperyą. N. 2. Ubranie z krótkiem vêtement. N. 3. Sukienka haftowana bluzkowa, dla małej dziewczynki.

N. 50—51. Suknia z vêtement. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 42—45.

Ryc. 50 i 51 przedstawiają przód i plecy sukni, odrobionej jednym fasonem lecz z odmiennego materyału i z różnem przybraniem, przy której głównie zasługuje na uwagę vêtement spływające aż do dołu sukni. Przody i boki (fig. 42—43) krają się na długość stanika z baskiną i dopełnione są bufą ułożoną ze skosu 40 cent. szerokiego. Drugie boczki i plecy krajane w całej długości podług fig. 44 i 44a podłożone są muślinem i podszyte lekką materyą, ażeby fałdy lepiej się układały. Brzegi boczne vêtement przypinają się wzdłuż sukni na kryte guziki. Na ryc. 50 widzimy suknię z materyi jedwabnej gładkiej i w paski, której spódnica ma przód i boki przemarszczane w bufy. Przy drugiej sukni (ryc. 51), spódnica aksamitna ma u dołu wolant a w górze draperyę z gładkiej materyi, takiej jak na vêtement.

N. 52. Firanka zsuwana, z wyszyciem krzyżykowem.

Za materyał służy gruba kanwa, przerabiana w pasy 10 cent. szerokie, gładkie matowe i z brzegiem ażurowym. Nad obrębem dolnym, oszytym 15 cent. szeroką frendzlą dany szlak 40 cent. szeroki wszyty z gładkiej kanwy, na której wyszywa się deseń krzyżykowy, filozelą ponsową i szafirową, z brzegów otoczony szlaczkami z kratki ażurowej. Deseń odpowiedni znajdą czytelniczki w Tygodniku Mód lub na dodatkowych arkuszach z krojami.

N. 53—54. Firanka zsuwana z haftem gobelinowym. Patrz ryc. 16 i 24 w N-rze 35.

Ozdobna firanka zsuwana, składa się z pasów mocnego płótna, przedzielanych pasami szlaku gobelinowego i wszywki nicianej. Rycina 53 przedstawia firankę zakończoną w około brzegów koronką daną na ryc. 10. Wzór wyszycia ściegiem gobelinowym, dajemy w naturalnej wielkości na ryc. 24 w N-rze 35, zaś na ryc. 16 daliśmy szeroką wszywkę nicianą. Do wyszycia deseniu użyta filozela, w kolorze żółtym, drzewnym i czarnym. Ryc. 54 uczy w powiększeniu wiązania kratki ażurowej, wyszytej czarnym jedwabiem, danej z brzegów przy każdym szerokim szlaku.

N. 55—57. Płaszczyk fałdowany „Fedora". Krój na arkuszu N. I, fig. 1—3.

Równie oryginalny jak dogodny płaszczyk jesienny lub podróżny, odpowiedni jest dla osób szczupłych i wysokich, odrabia się cały na podszewce jedwabnej, tego co wierzch lub odmiennego koloru. Model, który opisujemy, był z oliwkowego kaszmiru. Fig. 1—2 dają formę gładkiej podszewki, sięgającej za stan, zaś podług fig. 3 kraje się fałdowany wierzch i podszewkę. Podług części a kraje się górną połowę płaszczyka, fałdowaną odpowiednio do znaków. Litera b oznacza formę dolnej połowy płaszczyka, krajaną gładko z podszewki, zaś materyał zwierzchni fałdowany krająć podług litery c. Środkowe fałdy w plecach składają się wraz z podszewką, jak to widać na ryc. 55. Kokardy z wstążki repsowej, 6 cent. szerokiej, dodają się podług ryc. 56—57; w około szyi dana suta riusza układana w potrójne kontrafałdy.

N. 59. Sukieneczka z paletocikowym staniczkiem, dla dziewczynki lat 6—7.

Uszyta z materyału wełnianego i przybrana aksamitem, ciemniejszego lub odmiennego koloru. Krając przody trzeba naddać materyału na trzy fałdy dane z boków zapięcia; u dołu stanika dodane oddzielne części paletocikowe, stanowiące baskinę, których przyszycie przykrywa sznur gruby jedwabny, związany z przodu.

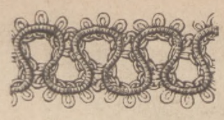
N. 60. Sukieneczka zdobna haftem.

Przody i plecy sukienki z białej brylantyny, układane są w kontrafałdy, po 3 c. szerokie, między któremi wszy-



N. 4. Haft z aplikacyą, stosowny na poduszki do kanapy, na teki, zastawki do lampy i t. p. Jedna figura z deseniu na dywan ryc. 28 w N-rze 39.

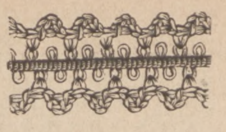
gładkie. Spódniczka składana w kontrafałdy, naszyta wstawką. Szeroka szarfa z boków przytrzymana patkami, wiąże się z tyłu w dużą kokardę z końcami oszytemi haftem.



N. 6. Torsadka do bielizny lub fartuszków dziecinnych. Robota szydełkowa z mignardisse.



N. 5. Obrus na ołtarz. Haft krzyżowy kolorowy. Zobaczyć szlaczek na ryc. 15.



N. 7. Torsadka do bielizny. Robota szydełkowa z mignardisse.

N. 61. Szlak haftowany złotem.

Jak to widać na ryc. 61 listeczki wyszyte są gładkim bajorkiem, łodyżki i cugi odznaczone sznureczkiem złotym, a większe i mniejsze muszki dane ze złotych perełek.



N. 10. Płaszcz nocny podróżny.



N. 8. Broszka filigranowa.

Opis do N-ru 38.

N. 1—3. Ubrania spacerowe dla dam i dzieci.

N. 1. Suknia ze stanikiem z draperyą.

Pod zwierzchnią fałdowaną spódnicę, złożoną z równo szerokich pasów z materyi i wstawek koronkowych, a zakończoną koronkową falbaną, podwłóczy się kolorową spódnicę jedwabną. Na gładkim jedwabnym staniku dany stanik z materyału koronkowego, garnirowany koronką naszywaną dżetem. Krótkie fałdowane paniers kraje się razem z przodami, a pod baskinę pleców dodaje się draperyę upiętą z dwóch szerokich szarf ogarnirowanych koronką. Fryzka, żabot i mankiety z koronki dżetowej. Kapelusz słomkowy lila, ubrany bzem i wstążką aksamitną ciemno lila.



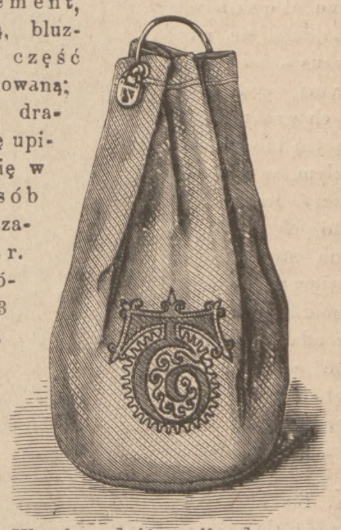
N. 12. Szlak wywodzony na tiulu, do firanek serwet i t. p.



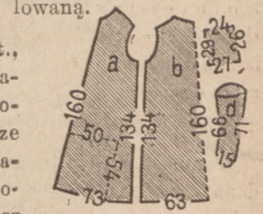
N. 13. Fartuszek z haftowanemi wstawkami. Zobaczyć koronkę na ryc. 11 w N-rze 39.

N. 2. Suknia z krótkiem vêtement.

Jakby na przekór częstym niepogodom zagranicą tego lata, najmodniejszy, nawet na suknie spacerowe, był kolor biały; jako materyał używane są przeważnie miękkie i lekkie materyały wełniane, voille religieusse, indyjska krepa, batyst i t. p., a do przystrojenia służą hafty maszynowe i haftowane koronki. Dla szczupłych osób dodają do przodów vêtement, długą, bluzkową część fałdowaną; tylną draperyę upina się w sposób wskazany na r. 32 w N. 39. Fałdowana spódnica zaszyta jest u dołu w 3 zakładki 1 c. szerokie, i oszyta szerokim haftem koronkowym. Środkowa kontrafałda spódnicy ma 16 cent., a fałdy plisowane 4 c. szerokości. Kokardy ze wstążki w atłasie 6 c. szerokiej; kapelusz biały ubrany piórami.



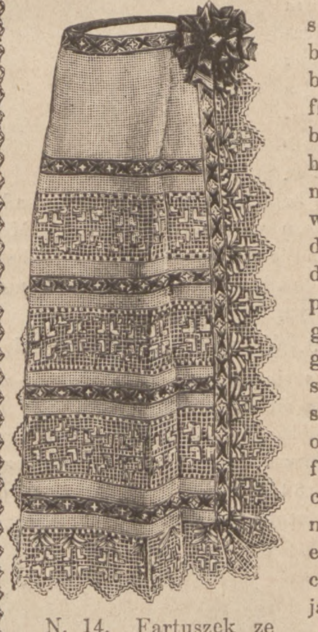
N. 9. Worek podróżny albo do przesełek pocztowych, ozdobiony literą malowaną.



N. 11. Wskazanie kroju płaszczyka ryc. 10.

N. 3. Sukienka bluzkowa ozdobiona haftem, dla małej dziewczynki.

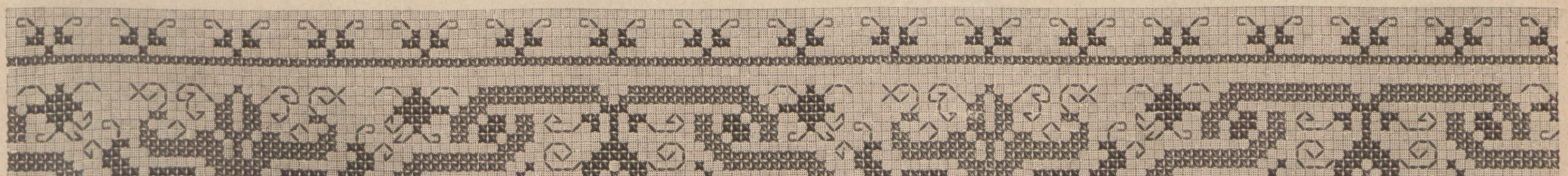
Na modelu sukienka z blado niebieskiego zefiru, ozdobiona była haftem ciemno ponsowym. Spódniczkę fałdowaną przypina się na guziki, do gładkiego spodniego staniczka; w obrąbek bufiasto spuszczonej bluzki nawłóczy się elastykę, obcisło przystającą do figury.



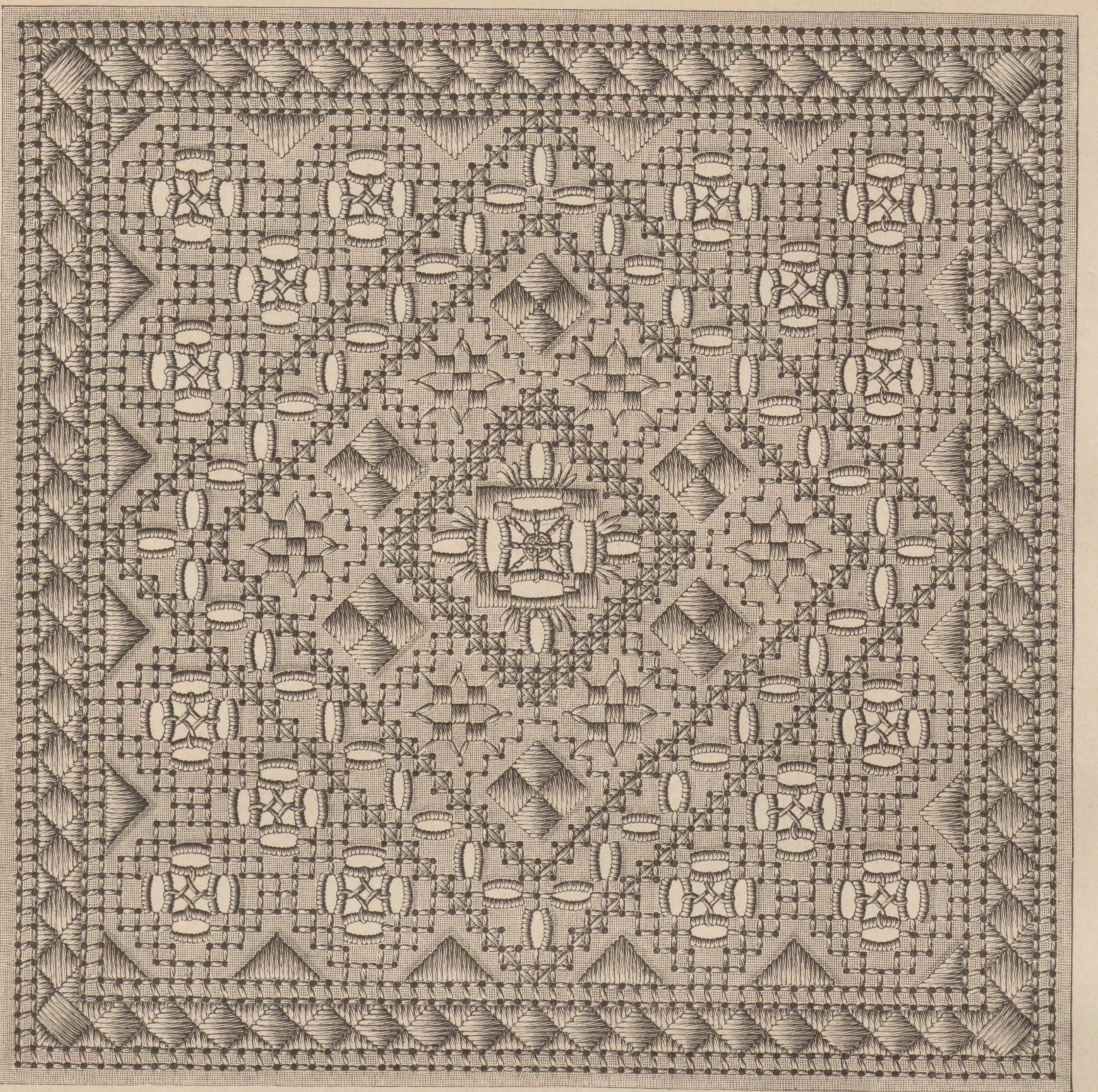
N. 14. Fartuszek ze wstawkami i koronką z siatki gipiurowej. Zobaczyć koronkę na r. 7 w N. 39, szlaczki na ryc. 1 i 2.

N. 5 i 15. Przykrycie na ołtarz. Haft krzyżowy.

Suty haft odrabia się jedwabiem tureckim purpurowym, nie zmieniającym koloru w praniu, na płótnie kanwowem,



N. 15. Szlak ściegiem krzyżowym, do obrusa na ołtarz ryc. 5.



N. 16. Kwadrat. Haft gobelinowy i kratka ażurowa.

a stosownie do potrzebnej wielkości przykrycia i grubości płótna, krzyżyki robić trzeba na 2, 3 lub 4 nitkach w kwadrat. Oprócz szlaczku podanego na r. 15 różne stosowne desenie znajdują się na arkuszach z krojami, dodawanych w roku bieżącym lub przeszłym, a mianowicie na tych, których cała jedna strona poświęcona jest deseniom. Piękna frendzla macramé na modelu robiona była kolorem białym i purpurowym.

N. 6 i 7. Torsadki do sukienek, fartuszków lub bielizny dziecinnej. Robota szydełkowa z tasiemeczką mignardisse.

Torsadka podana na ryc. 6, robi się z cienkiej mignardiski, w której naprzemian z jednej i drugiej strony 5 pikotów przeciąga się szydełkiem jeden przez drugi, bez użycia nitki roboczej, a inne pięć pozostawia się z każdej strony luźno, z tych pikoty brzeżne dwóch ząbków torsadki spaja się ze sobą, w sposób wskazany na próbce. Model do próbki ryc. 7, robiony był z popielatej mignardiski obrobionej po dwóch stronach ząbkami pikotowemi, nićmi lub jedwabiem popielatym.

N. 9. Woreczek podręczny podróżny.

Woreczek szyje się z mocnego, szarego żaglowego płótna, na którem litera lub monogram jest haftowany lub malowany; wielkość woreczka może być dowolna; zwykle denko okrągłe ma 42 cent. średnicy, a przyszyty do niego woreczek 84 cent. długości, a 130 cent. obwodu. W górnym 6 cent. szerokim obrębie, dane są w odstępie 13 cent., okute metalem dziurki, które w obydwóch połowach powinny równo zgadzać się jedna z drugą. Do zamykania woreczka przeciąga się przez dziurki pręcik metalowy 13 c. długi, z jednej strony przymocowany na zawiaskę do ucha metalowego, z drugiej strony na małą kłódeczkę zamykany.

N. 10—11 i r. 13 w N. 39. Płaszcz nocny podróżny.

Ryc. 10 i 13 w N. 39 przedstawia płaszczyk nocny, któren włożony na nocną bieliznę, w czasie podróży na noclegach w hotelach, uchroni nas od niemiłego a czasem nawet szkodliwego zetknięcia z pościelą hotelową. Na r. 11 dajemy krój i miary płaszczyka, któren robiony bywa z białej flanelki lub kaszmiru, a kraje się znacznie dłużej od wzrostu osoby, ażeby mógł śpiącą osłonić zupełnie. Na głowę wkłada się kapturek wszyty w pasek razem z wykrojem szyi. Od spodu przez całą szerokość przodów dodane jest z tego samego materyału podszycie 90 c. długie, w górze jak kieszenie otwarte, w które wsunąć można nogi. Rękawy zaszyte są u dołu, ale 15 centym. powyżej brzegu, zostawione są w szwie bocznym rozporki, przez które można wyjmować ręce. Kapturek i brzegi przednie płaszczyka zdobi haft krzyżykowy ponsowy. Na ryc. 13 w N-rze 39 podamy płaszczyk złożony.

N. 12. Deseń do wywodzenia na tiulu grosbotowym, na firanki, serwety i t. p.

Powyższy deseń wywodzony poczwórnemi nićmi Twift albo grubą przędzą na tiulu grosbotowym, stanowić może szlaki do firanek, rolet albo do przykryć na stoły, albo też być użyty do ozdobienia całych firanek tiulowych. W tym razie można dać szlaki w koło brzegów a tło środkowe wyszyć w rzucik z pojedyńczych kwiatów, lub też na całych firankach dać pasy jedne przy drugich, a brzegi wydziergać w zęby.

(D. n.)



N. 18. Kapelusz z florenckiej słomki. Patrz ryc. 19.



N. 17. Kapelusz marynarski dla chłopca.



N. 19. Kapelusz z florenckiej słomki. Patrz ryc. 18.



Pl. 550.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.